

# Księga ognia



STEFAN GRABIŃSKI

## Księga ognia

# Zielone Świątki

PARAFRAZA

### ZIELONE ŚWIĄTKI. PARAFRAZA

(Lekcja VII i IX i Brewiarza Rzymskiego — na Wielką Sobotę przed Wielkanocą).

Była godzina dziesiąta nad ranem, w pięćdziesiąty dzień po święcie Paschy — czas pogodny, słoneczny. Od Góry Oliwnej spływały w podmuchach porannego wiatru zapachy rozkwieconych drzew i były w miasto upojną falą z głębin doliny Cedronu. Nad szczytami domów unosiła się lekka zasłona z mgły, rozpylana od czasu do czasu pod silniejszym powiewem wiatru w złotordzawy kurz...

Zbudzona ze snu Jerozolima szemrała porannym gwarem. Tłumy pobożnych, którzy przywędrowali do miasta na święto Pięćdziesiątnicy ze wszystkich stron świata, gromadziły się już rojnie koło chramu<sup>1</sup> Salomona. W zgiełku głosów mieszały się bezładnie narzecza z odległej krainy Partów i Medów, przeciągło-śpiwna mowa Elamitów i synów Mezopotamii, gwara Żydów miejscowych i z okolic Judei. Wśród tłumu wiernych przesuwały się tęczową wstęgą kolorowe szaty pątników z Kapadocji i Pontu, białe turbany Arabów, powiewne płaszcze dzieci Sahary, Libii i Egiptu.

Od czasu do czasu morze głów rozpadało się na dwie kotłujące połowy, by środkiem przepuścić setnię legionistów zstępującą w pełnym marszu od strony Nowego Miasta lub oddział jeźdźców z prefektem w drodze ku Wieży Stratona. Potem znów obie pierzeje zwierzały się w jeden pstrokaty kłęb, co szumiał szmerem świątlnych<sup>2</sup> modłów, porannych pozdrowień, prośbami wędrownych żebraków...

Zewsząd ciągnęły ku świętemu miastu tysiące pielgrzymów: cesarskim traktem od Sychem, Cezarei i Liddy z północy, gościńcem do Gazy z zachodu, drogą do Betleem i Morza Martwego z południa. Centurionowie i naczelnicy straży przy bramach mieli dnia tego pracę nader uciążliwą, tym bardziej, że namiestnik przykazał surowo przestrzegać porządku i nie wpuszczać w obręb murów podejrzanych włóczęgów.

Zwłaszcza koło bramy zwanej Porta Antonia w północno-wschodniej części miasta natłok panował okropny. Bliskość cudownej sadzawki Betsaidy o pięciu krużgankach była tego przyczyną. Tysiące chromych, ślepych i porażonych dusiło się wkoło, czekając na swą kolej.

W czas bowiem święta zstępował do sadzawki Anioł Pański i burzyła się woda; kto zaś po jej poruszeniu zanurzył się i obmył schorzałe ciało, wychodził krzepki i zdrowy, choćby nie wiadomo, jak ciężką był nawiedzony chorobą. Przeto cisnęli się tu ludzie najwięcej, hałasem okrutnym napelniając miejsce...

W jednym z zaułków Górnego Miasta, na zachód od pałacu arcykapłana Kajfasza stał budynek niepokąźny z wyglądu, obwiedziony starym, zwietrzałym już murem; duże palmy figowe u wejścia niby wierne czaty<sup>3</sup> pieściły zielenią splawów przydaszki murowe.

<sup>1</sup>chram (daw.) — świątynia. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>świątlnych — dziś: świątecznych a. świątynnych. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>czaty — tu: straż, strażnicy. [przypis edytorski]

Był to dom Marii, matki Marka, stryjecznego Barnaby. Tu był wieczernik uczniów Jezusa z Nazaretu, ukrzyżowanego na Górze Stracenia dni temu 53.

Tu schronili się w trwodze przed żydami po Jego pogrzebie, tu spędzali długie godziny na modlitwie i krzepieniu serc, gdy Mistrza nie stało<sup>4</sup>, gdy odszedł od nich, pozostawiając samych w bólu i żalobie bez miary.

I dziś zgromadzili się potajemnie, by naradzić się pospołu nad tym, co czynić i dokąd zwrócić umęczone pościgiem stopy.

Bo wieści, jakie przyniósł z miasta Nikodem, członek Sanhedrynu, zaniepokoiły wielce, zwłaszcza trwożliwych z natury. Starsi bowiem z żydowskiej Rady, bojąc się kary za ukrzyżowanie Mistrza, rozsiewali oszczercze pogłoski o Jego uczniach i apostołach, odgrazając się, że wytępią wszystkich mocą swej zwierzchniej władzy lub oczernią przed rządem cesarskim jako buntowników i wrogów rzymskiego imperium.

Więc struchleli co słabsi i z trwogą garnęli się pod skrzydła Piotra niby pisklęta po schron, opiekę, pociechę... Przy bramie w murze u wejścia stało dwóch strażników i nie wpuszczało nikogo do wnętrza, jeśli nie wykazał się znaczkiem tessera<sup>5</sup> zwanym. Na dziedzińcu przed domem odmawiało kilku wiernych poranne modlitwy, inni, którzy już pokrzepili dusze rozmową z Panem, gwarzyli przyciszonym głosem lub spoglądali w górę ku oknom wierzchniego piętra, gdzie w wieczorniku obradowali apostołowie.

A był z nimi i Józef z Arymatei, ten sam, co się o grób dla Pana wystarał i wyprosił u Piłata pozwolenie na pogrzeb, i Natanael z Kany galilejskiej Bartłomiejem przez uczniów przewany, i Maria Kleofasowa, matka Jakuba i Józefa, i kilka innych pobożnych niewiast, co były przy zgonie Jezusa. A wszystkich razem w świetlicy wraz z tymi, co stali na podwórzu lub czekali w sieni domu, było ludzi stu i dwudziestu, uczniowie sami i wierni wyznawcy Chrystusa...

W przestronnej, wapnem na biało pociągniętej izbie stał stół długi i szeroki, zasłany lnianym obrusem, a wkoło niego 13 siedliszcz<sup>6</sup>. Jedno z nich w pośrodku było puste. Tam dni temu 53 zasiadł Mistrz ukochany, by po raz ostatni spożyć z uczniami wieczerę. Odtąd miejsce to stało pustką. Nie śmiał go nikt zająć po Nim; ani sam Piotr nawet, pierwszy z apostołów...

Dziś w wieczorniku panowało dziwne milczenie; siedzieli zadumani jacyś i pełni szczególnych przeczuć. Aż Szymon, Piotrem zwany, spostrzegłszy ich zamyśloną twarz, przerwał ciszę.

— Bracia moi, cóżecie tak smutni i stroskani? Zaprawdę radować się nam, nie smućć przystoi. Wszakże zmartwychwstał Pan, jako przyrzekł, dnia trzeciego i wstąpił w chwałę Ojca Swego. Lecz widzę, że są tu wpośród was jeszcze ludzie słabego ducha i małej wiary, co wątpiąc w prawdę słów Jego, potrzęsają głowami. „Zaprawdę, zaprawdę”, powiedział Pan, „stokroć szczęśliwsi ci, co nie widzieli a wierzą”.

I zawstydzili się niektórzy z obecnych i nabrawszy ducha, zaczęli pogodniej spoglądać na siebie. Aż jeden z uczniów, imieniem Kleofas, wystąpił z gromady i głosem pełnym radości jął opowiadać, jako wraz z drugim towarzyszem spotkał Jezusa zmartwychwstałego w drodze do Emmaus. I podniósł bardzo swą opowieścią upadłe już serca, bo gwar się wnet uczynił w świetlicy radosny, gdy zaczęli przypominać i dalsze zjawienie się Pana.

Więc świadczyli Andrzej i Mateusz, także Filip i Bartłomiej i inni z apostołów, jako tegoż wieczora przez zamknięte drzwi wszedł Pan do świetlicy i pozdrowił strapionych i smutnych słowem pokoju. I Tomasz niewierny teraz żarliwie przytwardzał, jako osiem dni potem wkładał sam rękę w bok Mistrza i palec w blizny dłoni Jego. I znów po raz czwarty ujrzeli Go nad brzegiem Genezaretu, gdy usiadłszy do łodzi samoczwart<sup>7</sup> z Szymonem, zarzucać mieli wężerze. W końcu ze smutkiem, ale i z otuchą lepszego jutra przywiedli na pamięć przedziwną chwilę na Górze Oliwnej, gdzie po raz ostatni zjawił się Mistrz w blasku nadziemskiej Swej chwały i odszedł w zaświaty ze słodką obietnicą na ustach:

Chrystus, Uczeń, Śmierć,  
Spotkanie

<sup>4</sup>nie stało (daw.) — zabrakło. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>tessera (z łac.) — kostka, płytka; pojedynczy element mozaiki. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>siedliszczce — siedzisko, miejsce do siedzenia. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>samoczwart z Szymonem — we czworo; Szymon z trzema towarzyszami (towarzyszkami). [przypis edytorski]

— Nie opuszczę was sierotami, lecz innego wam pošę Ducha prawdy, Parakleta, by pozostał z wami do skończenia wieków.

Przeto podnieśli głowy i pokrzepieni na sercach oczekiwali — na coś wielkiego. Jakiś nowy duch wstąpił w nich i rozniecił ogień zapalu i wiary. Nawet i ci najslabsi, co uchodzić już chcieli z Jerozolimy przed zemstą żydów, teraz wstydziłi się przed sobą i drugimi, postanawiając czekać na znak od Pana.

Szymon gorliwiec i Jan Zebedeuszowy zanucili pieśń cichą a słodką jak smutek budzącej się wiosny, tę samą, co ją śpiewali wraz z Mistrzem po ostatniej wieczerzy. Za ich przewodem poszli i inni i rozbrzmiała świetlica chórem głosów jasnych i czystych.

Szedł z wieczornika ten śpiew na miasto i rozlegał się echem przedziwnie wzmocnionym pomiędzy domami, że przystawali na ulicach przechodnie i, rozglądając się zdumieni wkoło, pytali:

— Cóż to za pieśń słodka i smętna zarazem?

I nasyciwszy uszy, odchodzili, kiwając głowami.

Nagle Galilejczycy umilkli. Po twarzach rozlała się błoga cisza pogody i podnieśli w niebo oczy pełne nadziemskiego szczęścia i mocnej, wyczekującej spełnień nadziei. I była długa chwila głębokiej ciszy. Zdawało się, że świat cały zamilkł na mgnienie czasu i przytaił oddech...

Wtem rozległ się szum ogromny jakby zrywającego się wichru i napełnił dom cały. Lica apostołów pojaśniały dziwnym blaskiem, oczy wypatrywały coś w dali zaświatowej, gdy Boży wiatr łopotał w ich szatach i wicherzył włosy na głowach. I wtedy pojawiły się w wieczerniku ogniste języki i czerwonym różańcem spoczęły po jednym nad każdym z nich z osobna. Wszystkich też spłomienił Duch Boży, że pełni świętego żaru i gorliwości wyszli z domu na ulice miasta i zaczęli przemawiać do tłumu rozmaitymi językami...

A byli wtedy w Jerozolimie wyznawcy zakonu Mojżesza z wszelakich szczepów i narodów pod niebem, którzy przyszedłszy tu ze wszystkich stron świata na święto Paschy, wciąż jeszcze przebywali w mieście. Ci tedy, zarówno jak i inni, obcy i zamieszkali, posłyszawszy wrzawę nagle powstałą wśród ludu, zbiegli się wielką rzeszą i osłupieli z podziwu, gdyż każdy słyszał apostołów mówiących w ich własnym języku. Więc zdumieni patrzyli jedni na drugich i pytali:

— Żali<sup>8</sup> ci ludzie podobni natchnionym prorokom lub opętanym przez duchy szaleńcom nie są Galilejczykami?

— Jakże więc to się dzieje, że każdy z nas słyszy własny swój język i mowę, do której przywykł od dziecka?

A byli wśród tłumu i brunatni od słońca mieszkańcy ziem libijskich niedaleko Cyrery, dzielni synowie Frygii i Pamfilii, niebieskoocy wyspiarze kreteńscy i Medowie o ciemno-oliwkowej barwie skóry.

Wszyscy ci, acz<sup>9</sup> językami i mową różni, rozumieli mówiących do rzesz dwunastu dziwnych mężów. I jedni dziwili się, z czcią kłoniąc głowy jako przed ludźmi świętymi — inni zaś o umysłach miałkich i przyciemnych naśmiewali się, mówiąc:

— Ci się moszczem popili.

Słyszając te słowa obelżywe, Piotr podniósł głos swój i przemówił:

— Mężowie Judei i mieszkańcy Jerozolimy! Zaprawdę powiadam, nie są ci pijani, jako wy sądzicie, ile że<sup>10</sup> dopiero trzecia godzina dnia<sup>11</sup>; ale tu się iszczą<sup>12</sup> słowa proroka Joela, który przepowiedział obietnicę Pana: „W dzień spełnień wyleję Ducha Mego na wszelkie ciało i będą prorokowali”. — Mężowie izraelscy! Rękoma bezbożnych ukrzyżowaliście i zglądzi<sup>13</sup> Jezusa z Nazaretu. Tego Jezusa Bóg wskrzesił, czego świadkami jesteśmy. I tak prawicą Bożą podwyższony spełnił obietnicę nam daną i wylał Ducha Świętego, którego widzicie i słyszycie. Przeto wiedźcie o tym każdy niechybnie, że ów Jezus, którego ukrzyżowaliście, postawion jest przez Boga Panem naszym i Mesjaszem.

<sup>8</sup>zali a. zali (daw.) — czyż, czyżby. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>acz (daw.) — choć. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>ile że (daw.) — jako że, ponieważ. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>trzecia godzina dnia — daw. trzecia godzina od wschodu słońca. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>iszczyć się — realizować się, urzeczywistniać się. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>ukrzyżowaliście i zglądzi<sup>13</sup> (daw.) — konstrukcja, w której końcówka fleksyjna pierwszego czasownika ma zastosowanie również dla kolejnego (kolejnych); dziś: ukrzyżowaliście i zglądzi<sup>13</sup>ście. [przypis edytorski]

Co usłyszawszy, rzesze zlekły się wielce i pytać zaczęły apostołów, co im czynić należy. Wtedy Piotr przykazał im czynić pokutę i przyjąć chrzest.

— Ratujcie się bracia — mówił w słowach prostych jak zwykle a mocnych — ratujcie się spośród tego przewrotnego plemienia!

I nawróciło się dnia owego około trzy tysiące dusz.

## Muzeum dusz czyścicowych

*Idźcie przekłęci w ogień wieczny, który zgotowany jest diabłu i aniołom jego*<sup>14</sup>.

(Mt 25:41)

*E vidi spirti par la famma andando*<sup>15</sup>.

(Dante Czyścic, P. XXV, w. 124)

Zatrzymali się przed nową kasetą. Pod szklanym wiekiem na poduszeczce z czerwonego aksamitu leżała stara, w safian oprawna książka. Proboszcz Łączewski, odchyliwszy wieko, wydobyl ją i podał grzecznie do oglądnięcia<sup>16</sup> dr. Proniowi.

— Mszał z kościoła parafialnego w Winnicy — objaśniał swym cichym, drżącym już od starości głosem. — A tu jest odcisk. Bardzo wyraźny — dodał po chwili.

— Rzeczywiście — odparł Proń, rozkładając na stole książkę. — Ciekawy znak. A jaki głęboki! Jakby od żelaznej, rozpalonej do białego żaru ręki.

Książdz z dumą patrzył na swój zabytek:

— I to w dodatku autentyk, panie doktorze. Oryginał. Nieprawdaż, Helu? — zwrócił się po aprobatę do jasnowłosej, chorobliwie pięknej bratanicy, śledzącej uważnie fizjognomię uczonego.

— Tak — odpowiedziała nieśmiało.

Proń spojrział bystro na pannę, uśmiechnął się trochę niedowierzająco i obserwował dalej książkę.

A znak był istotnie godny podziwu. Począwszy od stronicy dziesiątej mszału widniał wypalony odcisk ludzkiej ręki. Stygmat był silny i szedł na kilkanaście kartek w głąb; kontury wyraźne, zdecydowane, rysunek palców ostry; po brzegach odcisku papier nosił widoczne ślady nadpalenia: ciemnobrunatną obwódkę.

— Zna pani historię znaku? — zapytał młody uczoney.

— Objasnienia są na karteczce, zawieszzonej tu z boku, na ścianie puzdra — wyręczył ją w odpowiedzi stryj. — Proszę, może pan przeczyta?

Proń przebiegl szybko oczyma karneckim, zapisany drobnym, lecz wyraźnym „maczkiem”:

„W kościele parafialnym w Winnicy roku Pańskiego 1730 podczas mszy św. w drugi dzień Zielonych Świąt zjawila się dusza pana Bonawentury Łaszczza, dziedzica Winnickiego klucza, znanego z życia hulaszczego i pełnego porubstwa, z prośbą o modlitwę i wspomnianie nabożne. Na dowód prawdy wypalił potępieniec ślad swojej ręki na mszale”.

Duch, Czyścic, Omen

— Książkę tę — kończył historię proboszcz — podarował mi na pamiątkę ks. Dargan, śp. proboszcz w Winnicy, dowiedziawszy się, że zakładam muzeum dusz czyścicowych.

— Piękna pamiątka — mruknął półgłosem Proń i przeszedł do następnego *curiosum*<sup>17</sup>.

Był nim kwadratowy kawałek płótna z wypalonym śladem pięciu palców; odcisk był delikatny i nie przeżarł materii na wylot: jakby dotknięto się jej z lekka tylko.

<sup>14</sup>Idźcie przekłęci (...) i aniołom jego — fragment Ewangelii Mateusza, w tłum. z Biblii Tysiąclecia: „Idźcie precz ode Mnie, przekłęci, w ogień wieczny, przygotowany diabłu i jego aniołom!” (Mt 25:41). [przypis edytorski]

<sup>15</sup>E vidi spirti (...) andando — I ujrzałem duchy idące poprzez płomień [Przypis autora]. [przypis autorski]

<sup>16</sup>do oglądnięcia — dziś raczej: do obejrzenia. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>curiosum (łac.) — rzecz dziwna; ciekawostka. [przypis edytorski]

— Ślad ręki autentyczny — tłumaczył proboszcz — znaleziony przed pięciu laty na postawie płótna przez Andrzeja Świerka, gospodarza z naszej parafii, w opustoszałej chacie Ostrwiążów. W domu tym, niezamieszkałym od śmierci ostatniego z rodu, Józefa, który zginął zamordowany w sposób tajemniczy, podobno przez wiele lat straszło.

— Czy to też należy do muzeum? — zapytał uczony, wskazując na staroświecki, dębowy stół w rogu pokoju.

— Oczywiście, to jeden z mych najpiękniejszych okazów. Dar hr. Łosiów z kościoła parafialnego w Przemyślanach. Niech mu się pan doktor tylko bliżej przypatrzy.

Proń pochylił się nad stołem i spostrzegł na samym środku dębowej płyty głęboko wyciśnięty stygmat kobiecej ręki.

— Ciekawe! — szepnął, podnosząc pytająco spojrzenie na pannę.

— Ręka Heleny z Cetnerów hr. Łosiowej — odpowiedziała, mieniając się dziwnie na twarzy pod jego wzrokiem, bratanica księdza. — Widmo zmarłej miało ukazać się w Brzuchowicach koło Przemyślan w biały dzień dnia 19 lipca 1750 roku, prosząc o ratunek i na dowód tożsamości zostawiło po sobie tę pamiątkę na stole.

— Syn jej — dorzucił ksiądz — hr. Józef, dał stół ten wraz z opisem zdarzenia na marmurowej tablicy do kościoła w Przemyślanach, skąd dostał się ten nieoceniony zabytek do naszego muzeum.

— Rzecz charakterystyczna — zauważył doktor — że zjawiska stygmatoplastii<sup>18</sup> zdadzają pewien ulubiony typ. Rozczytując się dużo w odnośnej literaturze, ze zdumieniem doszedłem do przekonania, że dusze pokutujące chętnie objawiają się w ten sam sposób. Widać u nich, że się tak wyrażę, pewną manierę. Tak na przykład bardzo często czyta się o odciskach rąk na stołach lub drzwiach. Znać drzewo uważają za bardzo podatny materiał.

— To prawda — przyznał spokojnie ksiądz, jakby nie odczuwając lekkiego odcienia ironii w słowach gościa. — Mamy więcej takich sprzętów wśród naszych zbiorów. Lecz tylko ten jeden jest oryginalny. Reszta w tym rodzaju — to same kopie. Tu na przykład zaraz obok ten mały, z czarnego hebanu model jest wiernym odtworzeniem stołu klasztornego z opactwa dominikanów w Zamora w Hiszpanii z wypalonym śladem ręki jednego ze zmarłych zakonników.

— A tu — wmieszała się do rozmowy panna Helena — jest album z barwnymi kopiami innych znaków.

Proń otworzył podaną sobie księgę i z zajęciem przeglądał zawarte w niej wizerunki i zdjęcia. Po chwili zatrzymał się dłużej nad jedną z kopii, przedstawiającą duże, żelazem okute drzwi z wypalonym w pośrodku jednego ze skrzydeł profilem kobiecej głowy.

„Roku 1859 — czytał półgłosem objaśnienie u dołu karty — w klasztorze pp. franciszkanek we Foligno, koło Asyżu, ukazała się dusza zmarłej zakonnicy Teresy Giotti następczyni w urzędzie, Annie Felicji, cała w ogniu i wypaliła na dowód prawdy na drzwiach ślad swojej twarzy”.

— Oto jeden z typowych przykładów, o których mówiłem — wywnioskował, składając z powrotem album na wyznaczone miejsce.

Przeszli do dalszych zbiorów. Gościnnie gospodarz otworzył szafkę w stylu barokowym i zdjął z jej półek parę starannie owiniętych w jedwab paczek, związanych wstążkami barwy szafranowej.

— Chusty dusz czyścowniczych — objaśniała panna Helena, rozwiązując jedną z tych „saszetek”.

I posypały się na stół czworogranne<sup>19</sup> i trójkątne chusteczki, chusty, płatki i ręczniki z prostego płótna, delikatnego batystu, powiewnego „zefiru”, nawet z koronki lub tiulu z ciemnobrązowymi stygmatami palców, dłoni, rąk, z fragmentami naszkicowanych tylko z grubsza twarzy, profilów, zarysami nosów, warg lub uszu.

— Oto owoc mych trzydziestoletnich przeszło poszukiwań i trudów — chępił się proboszcz z naiwnie poczciwym uśmiechem dziecka, pokazującego starszym swe skarby. — Helu! Pochowaj to z powrotem!

<sup>18</sup>stygmatoplastia (z gr.) — odciski w glinie lub w wosku pozostawione przez widma pojawiające się na seansach spirytystycznych. [przypis redakcyjny]

<sup>19</sup>czworogranny — czworoboczny; o czterech graniach. [przypis edytorski]

— A ta szklana gablotka co mieści? — zapytał Proń, wskazując na podłużne, w srebrne ramy ujęte puzdro.

— Tam są fotografie i podobizny ludzi, którym dusze cierpiące w czyścicu na dowód swego istnienia wypaliły znaki na ciele.

Panna Helena, widząc, że uczony chce przejść do dalszych osobliwości w głębi pokoju, wstrzymała go uwagą:

— W tamtej partii nie znajdzie pan nic dla siebie zajmującego.

— Dlaczego? — zapytał przekornie. — Kto wie, może właśnie coś mi wpadnie w oko.

— Same niemal okazy wątpliwej autentyczności lub zgoła fałszyfikaty i twory mistyfikacji — objaśnił gospodarz.

— A dlaczego ksiądz proboszcz, wiedząc o tym, toleruje je w swoim muzeum?

Ksiądz, trochę stropiony, spuścił oczy ku ziemi. Po chwili wyjąkał nieśmiało:

— Takie sobie zamięłowanie, taka sobie pedanteria zbieracza. Może słyszał pan doktor kiedy, że zapaleni filateliści zbierają z pełną świadomością też fałszywe i podrabiane marki<sup>20</sup>? Zresztą trudno mi się z nimi rozstać, bo o ich nieautentyczności dowiedziałem się dopiero parę lat temu.

Tu rzucił ukradkowe spojrzenie na bratanicę.

— Przyzwyczaił się ksiądz dobrodziej do nich — dopomógł mu Proń — i teraz żal mu się ich pozbywać. Ale kto też ks. proboszczowi otworzył oczy na ten prawdziwy, lubo<sup>21</sup> niemiły stan rzeczy?

Pytanie znać wprawiło księdza w niemały kłopot.

— Ja — przerwała przykre milczenie panna.

— Pani?

Proń popatrzył na nią uważnie. Była bledsza niż zwykle i dziwnie poważna.

Nagle przyszła mu pewna myśl. Chwycił ją za rękę powyżej przegubu i patrząc mocno w oczy, przycisnął tętno silnie wielkim palcem.

W jednej chwili dziewczyna zeszywniała jakby w nerwowym paroksyzmie; białka jej oczu podeszły w górę, twarz przybrała wyraz sennej maski.

— Hm... — mruknął zadowolony z odkrycia. — Teraz rozumiem.

— Co pan zrobił z nią, doktorze? — zapytał przerażony proboszcz.

— Nic, nic — to tylko niewinne całkiem doświadczenie. — I łagodnie potarł jej ręką czoło u nasady nosa pomiędzy brwiami.

Panna przebudziła się i zdumiona patrzyła na obecnych.

— Co to było? Co się ze mną stało?

— Ależ nic, nic — uspokajał Proń, uśmiechając się życzliwie — pani tylko na chwilkę zasnęła.

— Ja spałam?

— Tylko przez chwilkę, przez bardzo małą chwilkę. Zresztą, przypuszczam, stan ten nie jest pani zupełnie obcy i musiała go już pani nieraz przechodzić. Nieprawdaż?

Panna pochyliła głowę.

— Może — brzmiała po chwili cicha odpowiedź.

— A zatem — podjął gość — rewia muzeum skończona. Czy mają państwo może jeszcze coś do oglądnięcia?

— W drugim pokoju mieszczą się też zbiory. Tam też przechowuję parę ciekawych odlewów w gipsie i brązie. Lecz sądzę, że na dzisiaj wystarczy panu przegląd pierwszej salki. Mamy zresztą czasu dość, gdyż nie puszczę pana doktora stąd tak prędko. *Hora* już *canonica*<sup>22</sup>: trzeba czymś pokrzepić grzeszne ciało. Helu, czy wszystko przygotowane?

— Obiad na stole; proszę państwa do stołu — przerwała plebanowi miłej powierchowości staruszka, wchodząc do pokoju.

Dr Proń podał z galanterią ramię Helenie.

Przebieg obiadu był miły i wesoły. Niewymyślne, lecz smakowite potrawy zakropione staropolskim miodem wzmocniły ciała, podniosły humory.

Kobieta, Ciało, Sen

Jedzenie, Obyczaje

<sup>20</sup>marka (daw.) — znaczek pocztowy. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>lubo (daw.) — choć, chociaż. [przypis edytorski]

<sup>22</sup>hora canonica (łac.) — godzina kanoniczna, tu: pora obiadu. [przypis redakcyjny]

Po ostatnim daniu wniesiono czarną kawę, z którą mężczyźni przenieśli się do saloniku. Proboszcz, zamknąwszy drzwi od przyległego pokoju, rozsiadł się wygodnie w staroświeckim fotelu i pykając z długiej piankowej lulki, podsunął gościowi skrzynkę z papierosami. Proń, wypuściwszy parę dymnych skrętów pod strop salonu, rozpoczął poobiednią pogadankę:

— Kiedy założył ksiądz proboszcz swoje muzeum?

— W roku 1870, równo 42 lata temu. Miałem wtedy lat 30 i objąłem tutejszą parafię.

— Przypuszczam, że coś musiało wpłynąć na zamiar utworzenia muzeum; jakiś fakt, jakieś zdarzenie? Taki oryginalny pomysł nie powstaje ni stąd, ni zowąd.

Ksiądz uśmiechnął się zagadkowo:

— I nie pomyliłeś się pan, panie doktorze. Istotnie pomysł założenia muzeum dusz czyścicowych zrodził się pod wpływem dziwnego zdarzenia, które zaciężyło wspomnieniem na całym moim życiu. Ponieważ historia ta wiąże się ściśle z jednym z okazów, zawartych w drugiej salce, którą mamy oglądać jutro, dlatego opowiem ją panu podczas zwiedzenia reszty zbiorów.

— Proszę o to bardzo. Nie ma ksiądz proboszcz pojęcia, jak wielce mię zaciekawił. Więc temu zdarzeniu wyłącznie zawdzięcza muzeum swe powstanie?

— No, nie wyłącznie, tego nie mogę powiedzieć. Były i inne pobudki już przedtem, tylko za słabe, by wpłynąć tak stanowczo. Dopiero ten fakt zadecydował. Przyznać się panu muszę, że już jako młody kleryk odczuwałem szczególniejszą sympatię dla dusz czyścicowych, obiecując sobie po wyświęceniu otaczać ich pamięć duszpasterską opieką i życzliwością. Jakoż zostawszy księdzem, zacząłem odprawiać często nabożeństwa na ich intencję; zdarzało mi się nieraz w ciągu tygodnia odmówić za nie parę mszy.

— Ciekawe! — dziwił się Proń — ksiądz proboszcz zapewne musi mieć w świecie zmarłych wiele dusz bliskich i kochanych.

Ksiądz zamyślił się na chwilę.

— Byłem sierotą od lat dziecinnych — odparł po namyśle — rodziców nie pamiętam; krewnych prawie nie miałem, rodzina nieliczna wcześniej wymarła. Nie, panie doktorze, moja niezwykła sympatia dla dusz czyścicowych ma źródła głębsze, może mniej osobiste. Zakładając zaś muzeum, chciałem przede wszystkim zebrać materiał, który by udowodnił niezbitcie światu i ludziom, że jest czyściec i kara piekła, że istnieje w ogóle życie pośmiertne duszy.

— Na to i ja się zgadzam z księdzem proboszczem w zupełności. I ja wierzę w życie po tamtej stronie i ekspiację po śmierci. Chodzi tylko o formę bytowania poza grobem i rodzaj „kary”.

— Istnienie czyścica i piekła jest dogmatem Kościoła — rzekł ks. Łączewski ze szczególnym akcentem w głosie.

— Tak, wiem o tym, lecz nie jest nim istnienie ognia rzeczywistego i prawdziwego.

— A jednak ogień ten jest prawdą, o której zapewnia nas powaga Ojców Kościoła i objawienia Świętych Pańskich. Św. Augustyn nazywa go ogniem rozsądnym i mądrym, który umie wywierać na grzeszniku całą swą niepojętą dzielność i pali w sposób dziwny, lecz prawdziwy. A św. Jozafat mówi o piekle w sposób następujący: „Oto jest miejsce nagotowane dla grzeszników; w płomieniach tych wiecznych cierpieć będą na wieki ci, którzy ulegli nieporządnym chuciom serca swego; tu wymierza się za rozkosz, co w chwili minęła, kara, która trwać będzie wiecznie”.

— Straszne, nielitościwe słowa, księżu plebanie.

— A jednak prawdziwe. „Któż z nas ostać się może przed ogniem pożerającym, kto z nas ostać się może przed płomieniem wiecznym?” — oto groźne pytanie, jakie nam stawia Izajasz w rozdziale XXXIII swej księgi.

— Sądzę, że sprawa natury tego ognia jest kwestią otwartą. Dla mnie jest on plastycznym symbolem mąk i katuszy moralnych duszy, która cierpi, przechodząc pamięcią całe swe zmarnowane życie.

— Zwykły wybieg tych, co, mając obciążone sumienie, pragną pocieszyć się w ten sposób. Ale to jest tylko strusia polityka, panie doktorze. Czyż nie mówi genialny mistrz włoski w pieśni 25. swego *Czyścica*:

*Quivi la ripa fiamma in fuor balestra*

Piekło, Ogień, Czyściec,  
Religia, Wiara, Ksiądz,  
Urzędnik, Okrucieństwo



*E la cornice spira fiato in suso,  
Che la riflette e via da lei sequestra;  
Onde ir convenia dal lato scbiuso  
Ad uno ad uno; ed io temeai il fuoco*

Quinci, e quindi temeai cadere in giuso<sup>23</sup> Cały bok góry płomieniami zieję,  
A zaś od brzeżka pęd silnej wichury  
Na powrót spędza ognistą zawieję.  
Wąziuchnym przejściem Mistrz i Stacjusz Wtóry,  
Ja trzeci krocym; groza mnie opadnie,  
To drzę, że spłonę, to, że runę z góry.

Ksiądz przymknął na chwilę oczy, pieszcząc słuch lapidarną stancą<sup>24</sup> świętego poematu.

Proń, lekko uśmiechnięty, nie przerywał milczenia, jakie potem zapadło. Nagle, strzepnąwszy popiół z papierosa, pochylił się ku rozmarzonemu Dantejską tercyną starcowi i zauważył:

— A właśnie zacytowany przez księdza dobrodzieja poeta zdaje się być sam w niepewności co do istoty kar pośmiertnych.

— Jak to? — zachnął się niecierpliwie gospodarz.

— Rzec oczywista. Kary, z jakimi spotykamy się w *Boskiej Komедii*, stoją często na przeciwnym biegunie do tej, o jakiej mówimy. Tak np. zdrajcom każe Dante przebywać nie w ogniu, lecz pod lodem, żarłokom w wieczystym dżdżów kole, pysznym pod głazami itd.

— Et, to tylko fantazja poetycka — bronił się podrażniony proboszcz. — Ja przecież nie uważam *Boskiej Komедii* za kanon wiary ani Ewangelię.

— A jednak — odparł nielitościwy gość — a jednak ksiądz proboszcz chciał przed chwilą użyć jej jako argumentu w kwestii spornej, która nas zajmuje.

— Et — przerwał mu impetycznie pleban — przecież oglądał pan moje zbiory. Czy ślady, wypalone przez widma zmarłych w obecności wiarygodnych świadków, nie są dla pana dostatecznym dowodem prawdziwości ognia? Chyba że uważa pan całe moje muzeum za automatyzację i wątpi o autentyczności okazów.

— Nie, księżę proboszczu, o autentyczności znaków, przynajmniej w pewnej ilości wypadków, nie wątpię. Owszem, wierzę w możliwość podobnych fenomenów. Jestem szczerzy wobec księdza i nie chcę przedstawiać się we fałszywym świetle: jestem okultystą-psychologiem. Lecz to, że znaki pozostawione na pamiątkę przez fantomy sprawiają wrażenie stygmatów wypalonych, nie jest jeszcze dla mnie dowodem materialności ognia pozagrobowego.

— Proszę! A to dlaczego? W jaki inny sposób potrafi pan coś podobnego wytłumaczyć?

Proń uśmiechnął się zadowolony. Natarczywość, z jaką postawiono mu pytanie, widocznie podobała mu się; psycholog lubił namiętną dyskusję.

— Ślady wyciśnięte przez dusze zmarłych — wykladał powoli, dobitnie — dlatego wyglądają jak wypalone — co więcej, powiem, dlatego są wypalone, ponieważ pochodzą od tych, którzy wierzyli za życia w ogień, jako środek karzący po śmierci.

— To szalona interpretacja — zaprotestował gorąco starzec — nigdy mnie pan nie przekona.

— Nie chcę też nikomu narzucać swych poglądów, lecz ponieważ już o tym mówimy, wypowiadam szczerze i otwarcie, co o tym myślę.

— Sądzi pan zatem, że ludzie i po śmierci...

Duch, Zaświaty, Dusza,  
Wiara, Kondycja ludzka,  
Obraz świata

<sup>23</sup>*Quivi la ripa (...) cadere in giuso* (wł.) — cytat z pieśni 25. *Czyśca Boskiej Komедii* Dantego Alighieri, ww. 112–117 (tłum. E. Porębowicza): [przypis redakcyjny]

<sup>24</sup>*stanca* (z wł.) — tu: strofa; typ strofy zastosowanej (po raz pierwszy w historii literatury) przez Dantego to *tercyna*, czyli strofa trójwersowa, przy czym układ rymów kolejnych strof (mianowicie: aba, bcb, cdc, ded itd.) tworzy rodzaj konstrukcji łańcuchowej. [przypis edytorski]

— Wierzą w to, w co wierzyli za życia, i że stan swój po śmierci niektórzy uświadamiają sobie jako mękę ognistą.

— Innymi słowy — przypuszcza pan...

— Że nie zawsze i nie pod każdym względem umarli wiedzą więcej od żywych. Owszem, jestem głęboko przekonany, że zawlekają za sobą na tamtą stronę wszystkie niemal przesady, namiętności i uprzedzenia, jakim hołdowali za życia.

— Jak więc wyobraża pan sobie stronę techniczną, że się tak wyrażę, owych znaków? Jak mogą wyciskać podobne ślady?

— Strona techniczna odcisków, owo ich specjalne zabarwienie i charakter kauteryzacyjny<sup>25</sup> nie przedstawiają większych trudności od tych, jakie pokonują fantomy, rozwiązując problem materializacji, działań telekinetycznych lub ideoplastii<sup>26</sup>.

— *Apaga satanas!*<sup>27</sup> — szepnął zniechęcony obrotem rozmowy gospodarz. — Nie zrozumiemy się nigdy.

— Ksiądz proboszcz wybaczy pewność tonu, z jakim prowadziłem dyskusję, lecz taki to już mój zwyczaj; zresztą postawiłem tylko hipotezę; nie mam pretensji do wszechwiedzy.

— Dobrze już, dobrze, zostawmy tę dysputę; widzę, że nie doprowadzi do celu.

Tu spojrzął na zegarek.

— Już piąta. Czas mi na nieszpór<sup>28</sup>. Czy pójdzie pan ze mną? Jest coś i w kościele naszym ciekawego dla pana.

— Z całą gotowością, księżę proboszczu.

— Stań pan przy wielkim ołtarzu po prawej i patrz uważnie na jego górne skrzydło.

— Nie omieszka.

I wyszli z plebanii ścieżką wijącą się przez sad ku kościołowi.

---

Pobyt dra Pronia u proboszcza przeciągnął się na parę tygodni. Wybierając się przed miesiącem z Warszawy do Doliny celem zwiedzenia muzeum ks. Łączewskiego, nie przypuszczał nawet, że ta pseudonaukowa, jak ją zrazu nazwał, wycieczka może zamienić się w płodną w wyniki ekspedycję. Spodziewał się, że co najwyżej oglądać będzie *curiosa* ekscentrycznego plebana-zbieracza, o którym krążyły po kraju najcudniejsze opowieści; w rzeczywistości znalazł zbiór wcale poważny i teren nader podatny do naukowej eksploatacji.

Toteż zachęcony uprzejmością gospodarza, od którego otrzymał w tej mierze *plein pouvoir*<sup>29</sup>, zabrał się gorliwie do pracy: skatalogował zbiory muzealne, poczynił wyciągi z odnośnych objaśnień, podzielił zabytki na kategorie.

Po dokładnym zbadaniu całego muzeum doszedł do wniosku, że jest ono przepięknym i jedynym w swoim rodzaju pomnikiem mediumizmu. Zwłaszcza zbiory zawarte w drugiej salce utwierdziły go w tym przekonaniu. Były to przeważnie odlewy gipsowe rąk, nóg i twarzy, wklęsłe lub wypukłe. Sporadycznie pojawiały się też podobne odciski w glinie, wosku lub w parafinie.

Zbadawszy bliżej płasko- i wypukłorzeźby zauważył, że tylko niektóre sprawiały wrażenie wypalonych stygmatów; część okazów zdradzała tylko lekkie zabarwienie brązowo-brunatne, większość nie wykazywała najmniejszego śladu kauteryzacji.

Gdy zwrócił na to uwagę proboszczowi, starzec stropił się.

— Przypuszczam — tłumaczył się niezręcznie — że te znaki nie pochodzą od dusz czyścicowych; może w nich pozostawiły nam po sobie pamiątkę duchy jasne już i oczyszczone przez ogień.

---

<sup>25</sup>kauteryzacja (łac.) — przyżeganie środkami lekarskimi lub rozpalonym żelazem w celu zniszczenia tkanek patologicznych. [przypis redakcyjny]

<sup>26</sup>ideoplastia (z łac.) — ucieleśnienie idei dokonujące się poprzez osobę medium, rodzaj „wylewania się” energii (pobudzenie siły nerwowo-mięśniowej) poza organizm medium następujące pod wpływem wyobrażeń czy bodźców z zaświatów i objawiające się czynnościami mimowolnymi (i. pozytywna) lub zablokowaniem możliwości wykonania określonych czynności (i. negatywna); termin XIX-wiecznego mediumisty, Juliana Ochorowicza, związany z jego teorią zjawisk mediumicznych, Ochorowicz wyróżnił trzy rodzaje ideoplastii: bierną (wrażeń), czynną (ruchów) i materialną (troficzną). [przypis edytorski]

<sup>27</sup>Apaga satanas! (łac.) — Precz, szatanie! [przypis redakcyjny]

<sup>28</sup>nieszpór — nabożeństwo wieczorne w kościele katolickim. [przypis edytorski]

<sup>29</sup>plein pouvoir (fr.) — pełnomocnictwo. [przypis redakcyjny]

Dusza, Obrzędy, Kobieta,  
Sen, Omen, Duch,  
Wierzenia, Spotkanie,  
Zaświaty

Proń pokręcił głową niedowierzająco:

— To są typowe okazy ideoplastii — zawyrokował po chwili. — Skąd nabył ksiądz proboszcz te odlewy?

Zapanowało na chwilę przykre milczenie. Starzec <sup>30</sup>nie chciał odpowiedzieć. Wymowne spojrzenia, jakie rzucał na obecną przy tym bratanicę, przekonały Pronia, że natknął na jakąś tajemnicę.

— Sądzę, stryjkę — rzekła z decyzją w głosie panna Łączewska — że nie mamy powodu kryć się z tym przed panem.

— Jak uważasz, Helu — odezwał się z uczuciem ulgi ksiądz. — Zresztą właściwie to twoja sprawa.

— Tak, panie doktorze — przyznała otwarcie panna — to są *nasze* odlewy.

— Państwa? Nie rozumiem.

— Tak, to znaczy u nas, tutaj, powstałe i wytworzone.

Proń zmarszczył brwi i przez chwilę bystro wpatrywał się w bladą dziewczynę.

— Tak — szepnął po chwili — powinienem być sam się tego wcześniej domyślić. To są zatem znaki fluidycznych członków, wyciśnięte podczas anormalnych stanów, w jakie pani zapada.

— Tak — potwierdził ksiądz — Hela istotnie ulega od czasu do czasu dziwnemu stanowi, zbliżonemu do snu, niby do śpiączki, po której przejściu znajdujemy niekiedy owe stygmaty. Zauważyliśmy to po raz pierwszy przed paru laty na glinie, którą przypadkowo wtedy pozostawiła w pokoju dziewczka w misie. Odtąd ilekroć Hela zapadnie w swoją dziwną senność, umieszczam obok jej krzesła za zasłoną miednicę z woskiem, gliną lub parafiną.

— Hm... — mruknął uczony — typowy proceder mediumistyczny. — A głośno dodał:

— Pani musi być znakomitym medium. Nawet nie przypuszczała pani dotąd, w jak wyjątkowe właściwości wyposażyla ją natura.

— Hela jest tylko ulubienicą duchów — tłumaczył ksiądz, niezadowolony z koncepcji Pronia.

— Być może, księżo proboszczu — sprawa to jeszcze nierozstrzygnięta. Po cóż spierać się przedwcześnie o nazwę zjawiska. Lepiej je wprzód dokładnie zbadać.

Od tej rozmowy rozpoczęły się eksperymenty mediumiczne dra Pronia z panną Heleną Łączewską.

Po kilku seansach doszedł uczony do wniosku, że bratanica proboszcza jest wybitnym medium dla zjawisk materializacji. W ciągu posiedzeń, odbywanych niemal codziennie, występowały fenomeny tak udatne, że Proń nie miał słów do wyrażenia swego uznania.

Zachęcony niezwykłym powodzeniem, sprowadził specjalny aparat do zdjęć błyskawicznych przy świetle magnezjowym i zaczął utrzymywać na płytach galerii fantomów i mar, wysnutych w obecności panny Heleny. Wyrazistość swą zawdzięczały widma silnemu wydzieleniu się materii astralnej z ciała medium, które wskutek tego traciło w czasie doświadczeń niezmiernie dużo na wadze. Bywały nawet momenty, kiedy postać panny, pogrążonej w transie, zacierała się przed oczyma magnetyzera, jakby blednąc i rozwiewając się w przestrzeni. Wtedy zaniepokojony wstrzymywał dalszy rozwój zjawiska i przy pomocy pociągnięć przeciwnych przywoływał śpiącą do stanu jawy. — Ksiądz w posiedzeniach nie brał udziału, unikając widocznie bliższego kontaktu ze sprawą. Byłby nawet wprost sprzeciwił się eksperymentowaniu, gdyby nie wyraźne życzenie Heleny, której kaprysom ulegał bez szemrania. Toteż śledził z dala tylko przebieg doświadczeń, zadowolając się relacjami Pronia.

Wkrótce obok materializacji ujawniły się u medium zdolności psychometryczne. Panna Helena nie tylko odczytywała pismo zamknięte w kopercie i odgadywała przedmioty ukryte w drewnianej lub metalowej szkatułce, lecz umiała też sięgnąć intuicją wstecz, do przeszłości, i opowiedzieć ich historię; wystarczyło tylko podczas transu przyłożyć je w tym celu do czoła lub serca medium.

O jego rzetelności przekonał się młody uczony w sposób niezbity przy badaniu tą metodą dziejów starej przeszłowiecznej książki, którą woził z sobą w bibliotecę podręcznej.

<sup>30</sup>znać — widocznie. [przypis edytorski]

Helena wymieniła nie tylko nazwiska wszystkich jej poprzednich właścicieli, lecz opowiedziała też przy tej sposobności nader zajmującą historię, związaną z życiem śp. pani Z., od której Proń nabył książkę. Wiadomości, zasięgnięte w tej mierze przez uczzonego u krewnych zmarłej, potwierdziły w najdrobniejszych szczegółach dziwną opowieść.

Odtąd „Muzeum dusz czyścicowych” nabrało w oczach młodego okultysty tym głębszego znaczenia; znaki, uznane przez Helenę za autentyczne, stały się dokumentami pierwszorzędnymi, z którymi należało się liczyć poważnie.

W ciągu trzech tygodni poddał „rewizji psychometrycznej” wszystkie niemal zbiory proboszcza, by przekonać się, że opinia medium, wypowiedziana o nich przed laty, nie zmieniła się w niczym; stygmaty podejrzanej wartości lub wprost fałszywe pozostały nimi i teraz.

Szczególniejszą uwagę zwrócił Proń na „najpiękniejszy” okaz muzeum, znajdujący się w drugiej salce. Istotnie zasługiwał na to i ze względu na swoją formę zewnętrzną, jako też genezę. Zabytek ten pozostawał w najbliższym stosunku do twórcy muzeum, związany z nim najserdeczniejszą spójnią narodzin. Jemu też zawdzięczało muzeum swój początek.

Był to ten sam dziwny obraz, którego kopię oglądał Proń w kościele na prawym skrzydle ołtarza.

Na wąskim, przeszło metrowej długości kawale białego jedwabiu widniał szkic ludzkiej postaci, wykonany jakby węglem lub wisiorem maczanym w sadzy. Rysunek trochę rozwiewny w konturach wyglądał na podobiznę jakiegoś wyższego dostojnika Kościoła. Tak przynajmniej pozwalała wnosić długa, powłóczysta szata, rodzaj peleryny zarzuconej na ramiona, i strój głowy przypominający infułę. Charakterystyczny był profil: rysy ostre, wyraziste jak u masek pośmiertnych synów starej Romy, nos orli, oko drapieżne, o sępiem wejrzeniu. W ręce prawej zdawał się trzymać pastorał, lewą, wyciągniętą przed siebie, jakby bronił się przed czymś groźącym.

Było w tej postaci coś diabolicznego, coś, co zionęło złością szatana, a równocześnie budziło litość nad jego męką.

Tak wyglądał pierwszy zabytek muzealny ks. Łączewskiego, nazwany przez niego „biskupem”.

Genezę niesamowitego portretu opowiedział proboszcz Proniowi w kościele po ukończeniu nieszporów, gdy już ostatni wierni wysunęli się cicho ze świątyni. Usiadłszy z gościem w jednej z ławek bocznej nawy, starzec tak mówił:

— Było to w roku 1870, więc 42 lata temu, w marcu, w środę mięsopostu<sup>31</sup>, podczas czterdziestogodzinnego nabożeństwa, które na sposób rzymski zarządziłem u siebie. Byłem niemal sam w pustym kościele o późnej godzinie północy. Przede mną lśnił w glorii światła wystawiony Przenajświętszy Sakrament, jarzył się pełgotami świec ustrojony w jedwabne szarfy i wstęgi wielki ołtarz; poza mną w środku świątyni rzucała czerwone blaski lampa wieczysta. Ciszę przerywał chyba tylko szepot moich warg lub skwierczenie dopalających się kaganków... Pochylony nisko na klęczkach, z głową opartą o stopnie wielkiego ołtarza, modliłem się żarliwie za dusze tych, co odeszli...

I wtedy: czy znużony wielogodzinnym czuwaniem, czy nawiedzony łaską szczególną, popadłem w stan niezwykły, w rodzaj snu czy ekstazy, nie pomnę; straciłem na jakiś czas przytomność. Jak długo trwała, nie wiem; lecz gdy znów ocknąłem się na jawie, niebieskie jutrznie przeglądały już przez szyby witraży...

Podniosłem czoło i, spojrzawszy na ołtarz, zauważyłem, jak jedna ze świec, przechyliwszy się ku prawemu skrzydłu, silnie kopciała. Złękłszy się, by nie powstał pożar, gdy zajmie się opona z jedwabiu, zwisająca z tej strony, poskoczyłem ku skrzydłu, by świecę poprawić.

I wtedy ujrzałem, jak płomień jej, podlizując w odległości paru cali brzeg dolny jedwabiu, zarysował już wisiorem kopcicu tę dziwną postać.

Wrażenie, jakim mnie przejął ten wizerunek, było potężne i tajemnicze zarazem. Do dziś dnia nie rozumiem, dlaczego zdarzenie pozornie tak błahe, tak niby przypadkowe, wstrząsnęło do głębi całą moją duchową istotą. Lecz że powody jakieś być muszą, o tym nie wątpię...

<sup>31</sup>mięsopost — ostatki; w kościele katolickim: ostatnie dni karnawału przed czterdziestodniowym postem poprzedzającym wiosenne święto Wielkanocy. [przypis edytorski]

W miesiąc potem kazałem sporządzić sobie kopię „biskupa” na tym samym materiale i zawiesiłem ją w kościele, zabierając oryginał do siebie jako zawiązek muzeum.

— Szczególne zdarzenie — przerwał po chwili zaległe milczenie Proń i zamyślony opuścił z księdzem progi kościoła...

Odtąd historia proboszcza nie dawała mu spokoju i postanowił za wszelką cenę zbadać ją dokładnie przy pomocy swego medium. Lecz tu spotkał się po raz pierwszy z silną opozycją; Helena nie chciała pod żadnym warunkiem zgodzić się na psychometryczne zbadanie wizerunku „biskupa”.

— Nie mogę — broniła się uporczywie jego naleganiom i prośbom — nie mogę na to się zgodzić, panie doktorze. Niech mnie pan do tego nie namawia, bardzo pana o to proszę. Coś mnie odtrąca od eksperymentowania z tym szkicem, jakiś nieokreślony lęk odpycha od tego wizerunku i nie pozwala wejść w bliższą z nim styczność.

Proń, widząc nieprzewidywany upór panny, pozornie ustąpił i przez parę dni nic o „biskupie” nie wspomniał.

Tymczasem zauważył coś, co naprowadziło go na daleko idące domysły w tej sprawie i ukazało jakby potajemny trop, na którym spodziewał się znaleźć prawdę.

Stało się w parę dni potem, podczas oglądania „pamiętek rzymskich” proboszcza. Ks. Łączewski bowiem był namiętnym wielbicielem Rzymu i jego zabytków. Znał Święte Miasto znakomicie i czuł się w nim jak u siebie w domu. Nie było zakątka, którego by nie zwiedził, zabytku, którego by na własne oczy nie oglądał.

— Rzecz dziwna — powiedział raz w chwili zwierzeń do gościa — gdy po raz pierwszy w dwudziestym roku życia zwiedzałem Rzym, miałem wrażenie, że byłem tu już kiedyś dawniej, miasto wydało mi się dziwnie znajome, orientowałem się od razu w ulicach bez pomocy planu, witając ze szczególnym wzruszeniem pałace i domy, niby dobrych, starych znajomych. Zwłaszcza niezwykle jakoś bliskie i zażyłe wydały mi się zatybrzańskie, do Watykanu przytulone dzielnice: Borgo, Zamku Anioła i Prati, w których monumentalne, hadrianowskie mury, wąskie i ciemne uliczki, szare portyki i tajemnicze ponad dachami przejścia-*corridori* dziwnie klóciły się z szumnym rozgwarem prostolinijnie wytkniętych nowych ulic, słonecznych placów i granitem obrzuconych wybrzeży Tybru. W niezrozumiały dla mnie sposób odgadywałem zmiany, jakie zaszły w rozmieszczeniu budynków i planie tej części miasta w ciągu wieków; mój *cicerone* zdumiony był niektórymi szczegółami, które nie były znane nawet jemu, urodzonemu rzymianinowi; a jednak moje późniejsze poszukiwania i studium historii miasta Rzymu przekonały mię, że miałem słusność. Cóż więc dziwnego, że ciągnie mnie do Rzymu coś z nieprzepartą siłą i że niemal co roku odwiedzam ukochane miasto?

Jakoż istotnie odbywał proboszcz z Doliny częste pielgrzymki do stolicy Piotrowej i za każdym razem przywoził z sobą jakąś cenną pamiątkę.

Jedną z nich było album portretowe kardynałów renesansu, duża, oprawna w żółty pergamin księga z przeszło 90 podobiznami dostojników Kościoła.

Przeoglądając tę cenną pamiątkę, zatrzymał się Proń dłużej przy wizerunku jednego z kardynałów wieku XVI, którego rysy wydały mu się szczególnie znajome.

Ksiądz spostrzegł to, spojrzął na portret, który przykuł tak uwagę gościa, i patrząc nań z dziwnym uśmiechem, odczytał objaśnienie poniżej:

— Lorenzo Rufredo, kardynał z czasów Aleksandra VI<sup>32</sup> i jeden z jego zauszników. Umarł w 54 roku życia śmiercią zagadkową, podobno pod ciężarem klątwy, rzuconej nań przez następnego papieża.

— Typowy przedstawiciel *grandseigneurów*<sup>33</sup> kościelnych odrodzenia — rzucił oględna uwagę Proń.

— Niestety — przyznał cicho ksiądz — podobno był to człowiek bujny, lecz i pełen wyuzdania. Toteż spotkała go zasłużona kara. Dziwna głowa, nieprawdaż, doktorze?

— Rzeczywiście — potwierdził w zamyśleniu Proń i patrząc uważnie w twarz księdza dodał: — Rzecz dla mnie niepojęta i ze wszech miar ciekawa: kardynał Rufredo zupełnie podobny do „biskupa”, którego wizerunek w tak niezwykle sposób powstał na oponie ołtarzowej w tutejszym kościele i stał się zaczątkiem muzeum księdza proboszcza.

<sup>32</sup>Aleksander VI — Rodrigo Borgia, papież w l. 1492–1503. [przypis redakcyjny]

<sup>33</sup>*grandseigneur* (fr.) — wielki pan. [przypis redakcyjny]

Na twarzy księdza odbiło się zakłopotanie. Spuścił oczy i odparł zmieszonym głosem: — Ma pan słusność; i ja spostrzegłem od dawna to podobieństwo.

„Lecz istnieje jeszcze i drugie, nie mniej tajemnicze i zagadkowe — pomyślał uczony, lecz nie wypowiedział głośno swego spostrzeżenia ze względu na osobę plebana”.

Bo oto patrząc w twarz ks. Łączewskiego, zauważył, że w sposób dziwny łączy w sobie zasadnicze cechy obu wizerunków: proboszcz z Doliny był uderzająco podobny do kardynała Rufredo i „biskupa” wypalonego na jedwabiu.

Lecz milczał, nie chcąc sprawić przykrości starcowi, i już bez dalszych uwag przeszedł do następnych portretów.

Lecz tego wieczora, koło godziny dziewiątej, skrycie wtargnął do drugiej salki muzeum i zabrawszy z sobą podobiznę „biskupa”, ukrył ją w swoim pokoju, by przy najbliższym seansie użyć jej bez wiedzy Heleny.

Nazajutrz panna, nie przeczuwając podstępny, pozwoliła się usnąć. Wkrótce pod skupionym spojrzeniem Pronia zapadła w głęboki trans; głowa bezwładnie odchyliła się wstecz i oparła o grzbiet fotelu, jasnoniebieskie jej oczy podeszły w górę. Proń zgasił lampę i zapaliwszy świecę, przyćmił blask abażurem: po pokoju rozlała się mgława, zielona poświeta<sup>34</sup>.

Wtedy uczony wyjął szybko jedwabną materię i zakrył nią od strony szkicu twarzy śpiącej, po czym przy pomocy *passów*<sup>35</sup> magnetycznych pogłębił stan transu. Po kilku minutach zaczęły z ust medium wydobywać się przytłumione westchnienia i jęki, a ciało dotąd sztywnie wyciągnięte prężyć się jakby w konwulsjach. Nagle zerwała z twarzy jedwabną oponę, pochylając się w przód. Wtedy spostrzegł z zadowoleniem eksperymentator, że proces materializacji rozpoczęty...

Z głowy Heleny, spod pach i z okolicy łona wysnuwały się wiotkie, fluidyczne woale<sup>36</sup>, łączyły się w skrętach, zgęszczały w spirale. Po upływie krótkiego czasu wyłonił się zarys ludzkiego kształtu.

Doktor zbliżył się ku oknu i szybko ściągnął storę na dół. Gdy w następnej chwili odwrócił się ku medium, wydał mimowolny okrzyk zdumienia. Przy fotelu śpiącej po jej prawej ręce stał w pełni zmaterializowany fantom „biskupa”. Diaboliczną twarz dostojnika, zwróconą *en face* w stronę uczonego, skrzywił okropny grymas; sępie oczy wbił w przestrzeń i z wyrazem piekielnego przerażenia coś tam wypatrywał — niby drugi Nebukadnezar<sup>37</sup>, odczytujący złowróźbne pismo na ścianie królewskiej komnaty.

Wtem z ust medium wypłynęły chrapliwe, zdławione męką słowa:

— Jam jest kardynał Bufredo!

Widmo, zakrywając twarz jakby przed czymś strasliwym, wahało się wstecz.

— *Vexilla regis prodeunt inferni*<sup>38</sup> — zabrzmiał okrutny wyrok z ust śpiącej.

Odpowiedział mu jęk przeciągły, niby świst wichru:

— *Cremaberis igne aeterno*<sup>39</sup>! — padły ostatnie słowa i zgasły.

Wyczerpane medium rzuciło się z powrotem we fotel.

Wtedy zaszło w fantomie zagadkowe przeobrażenie: znikła strzelista infuła, odpadł w przestrzeń pastorał, rozwiały się insygnia kardynalskiej godności; po chwili ujrzał magnetyzer przed sobą zamiast drapieżnej maski kardynała łagodną, słodko uśmiechniętą postać ks. Łączewskiego...

Nie dowierając wzrokowi, Proń przystąpił ku księdzu i wyciągnął rękę, by go dotknąć. Lecz widmo, uprzedzając zamiar, uchyliło się trwożliwie w głąb pokoju.

— *Noli me tangere*<sup>40</sup>! — wypłynęło z ust Heleny znamienne ostrzeżenie.

<sup>34</sup>poświeta (neol.) — poświata. [przypis edytorski]

<sup>35</sup>passes (fr.) — ruchy rąk magnetyzera mające na celu wprowadzenie medium w stan hipnozy. [przypis redakcyjny]

<sup>36</sup>fluidyczne woale — pasma zagadkowej materii, wydzielające się z organizmu osobników medialnych w czasie transu. [przypis redakcyjny]

<sup>37</sup>Nebukadnezar, właśc. *Nabuchodonozor* (z hebr.) — władca Babilonu, zm. w 136 r. p.n.e. [faktycznie Nabuchodonozor zm. w 562 p.n.e.; red. WL], lecz jego potomek (syn, jak podaje Biblia), Baltazar, ujrzał na ścianie komnaty, podczas uczty, na której sprofanowano żydowskie naczynia sakralne, napis *mane, thekel, feres* (chald.): policzone, ważone, rozproszone, jako zapowiedź zemsty bożej. [przypis redakcyjny]

<sup>38</sup>*Vexilla regis prodeunt inferni* (łac.) — Oto postępują naprzód proporce króla piekieł. (Przypis autora). [przypis autorski]

<sup>39</sup>*Cremaberis igne aeterno* (łac.) — Ogniem wiecznym trawiony będziesz. (Przypis autora). [przypis autorski]

<sup>40</sup>*Noli me tangere* (łac.) — Nie dotykaj mnie. [przypis redakcyjny]

Uczony cofnął się na poprzednie stanowisko, śledząc ze zdumieniem szczególne przeobrażenie.

Twarz księdza krasiał niepojęty, niebiański uśmiech szczęścia i ukojenia; oparł rękę na głowie śpiącej bratanicy i wzniosłszy oczy do góry, zdawał się skupiać w bezgłośnie modlitwie. Powoli, nieznacznie, postać jego uniosła się w górę na klęczkach i ze złożonymi na piersiach rękoma rozwiała, rozplynęła się w przestrzeni...

Zanim Proń zdołał zorientować się w znaczeniu fenomenu, Helena, wydawszy bolesny okrzyk, samorzutnie przebudziła się. Wysiłkiem woli otrząsnąwszy się ze stanu odrętwienia, porwała się gwałtownie z miejsca:

— Mój stryj? — zapytała drżącym, pełnym śmiertelnego lęku głosem. — Co się stało ze stryjem?

— Zapewne u siebie — usiłował uspokoić ją Proń.

— Mam jakieś złe przeczucie. Chodźmy do niego zaraz!

I pociągnęła go za sobą do pokoju księdza.

Weszli szybko, nie pytając, czy wolno. Wewnątrz w blasku lampy ujrzeli proboszcza, siedzącego przy biurku. Jedną ręką podparł nisko zwieszoną głowę, drugą przyciskał do ust krucyfiks.

— Stryjku! — zawołała z niepokojem w głosie Helena. — Stryjku!

Starzec milczał. Panna podbiegła ku niemu, zarzucając mu ramiona na szyję. Wtedy siedzący obsunął się ciężko z fotelu na posadzkę.

— Jezus Maria! — krzyknęła, pochylając się nad nim w bezmiarze bólu.

Proń przyklęknął obok i uważnie zbadawszy puls i serce, rzekł półgłosem:

— Nie żyje.

## Gebrowie

W zakładzie dra Ludzimirskiego zanosilo się na wielką uroczystość. Z parku otaczającego lecznicę wnoszono wazony z oleandrami o świeżo rozwiniętych, blad różowych pęczach<sup>41</sup>, doniczki z kannami o posępnej, ciemnoczerwonej urodzie, pomarańczowoogniste irysy i tulipany. Grzegorz, ogrodnik, z widoczną niechęcią wydobyl z oranżerii rzadkie okazy dalii, bliźnianą parę eukaliptusów i ukochaną palmę, „Królowę Kaszmiru” — i ostrożnie ustawił kwiaty pod ścianami korytarzy.

Na schodach wiodących na piętro rozbłysły żyrandole, rozrzucając spod abażurów świetlane rozety blasków. W powietrzu unosiła się dyskretna woń werweny i heliotropu...

Kierownik zakładu w smukłym fraku przechadzał się po kularach gibkim, elastycznym krokiem, poprawiał świece w siedmioramiennych, brązowych świecznikach, zaglądał od czasu do czasu przez kotarę w głąb „sali centralnej”, dokąd służbie wstęp był surowo wzbroniony, to znów zadowolony z wyniku rewii zwracał uwagę krzątającym się w liberii lokajom na pewne braki, jakie jeszcze tu i ówdzie wyzierały. Zresztą usterki były drobne i obcy już znać z akcesoriami uroczystości ludzie usuwali je z łatwością i wprawą.

Bo też nie po raz pierwszy urządzano coś podobnego w zakładzie. „Święto Gebrów” miało tu za sobą już pewną tradycję. Ceremoniał obrzędowy rozwijał się w zakładzie już od lat kilku dzięki pomysłowości jego „wychowanków” i troskliwej opiece, jaką go otaczał sam kierownik.

Bo dr Ludzimirski stosował w leczeniu oryginalną metodę, polegającą na tym, by nie tylko w niczym nie sprzeciwiać się swym pacjentom, lecz, owszem, podtrzymywać względnie „pielęgnować” z całym pietyzmem „egzotyczne kwiaty wyrosłe z podłoża chorych mózgów”. Chodziło o to, by mania rozwinięła się do ostatecznych możliwości i przeszedłszy wszystkie możliwe stadia i ewentualności, wyczerpała się i zginęła na uwiad: wtedy wedle poglądu lekarza miało nastąpić uzdrowienie. Zresztą nawet w wypadkach nieuleczalnych taka „hodowla obłądu” mogła, zdaniem jego, przynieść olbrzymią korzyść, jeśli nie dla danego pacjenta, to przynajmniej dla nauki, wzbogacając nadzwyczajnie psychologię chorób umysłowych.

<sup>41</sup>pęcze a. pęczka — dziś: pąki. [przypis edytorski]

Toteż od chwili objęcia zakładu, tj. od lat temu piętnastu z górą, prowadził psychiatra starannie dziennik przeżyć swych wśród obłąkanych, z których każdy miał poświęconą sobie osobną kartę. Z czasem notatki te urosły w szereg ciekawych życiorysów, traktowanych już oddzielnie, niby zamknięte dzieje chorej myśli i jej dziwnych kolei.

Początkowo lekarz zdawał sobie dokładnie sprawę z przepaści dzielącej ten zabłąkany świat od sfery zdrowej, normalnej, chwytal w lot właściwe dystanse i dostrzegał z miejsca krzywizny i zboczenia. Powoli jednak różnice te poczęły się dlań zacierać i przestały razić; owszem, po kilku latach tak oswoił się z szaleńczą dziedziną, że stała mu się niejako drugą rzeczywistością, i to znacznie głębszą i godniejszą uwagi niż ta, w której obracali się ludzie poza jego zakładem. Dostrzegł w niej bowiem niejednokrotnie swoistą organizację opartą na żelaznej, nieublaganej logice. Co więcej, życie duchowe jego wychowanków wydało się znacznie bogatsze niż banalne historie przeciętniaków odśpiewujących niezmiennie, aż do znużenia, monotonne litanie codzienności.

Wtedy to zaszło w dziejach zakładu zdarzenie, które miało zaciążyć potężnie nad jego przyszłością. Stał się nim wybuch obłędu u dra Janczewskiego, osobistego przyjaciela Ludzimirskiego, i w następstwie przyjęcie go w poczet pacjentów zakładu.

Janczewski był potężną indywidualnością. Prace jego z zakresu psychofizyki wzbudzały zawsze ożywioną dyskusję w świecie naukowym, gdyż każda niemal rozprawa stanowiła epokę w dziejach badań psychicznych. Toteż wiadomość o jego chorobie sprawiła na wszystkich przynębiające wrażenie. Ludzimirski odczuł to podwójnie głęboko i zajął się przyjacielem z ojcowską pieczołowitością.

Choroba wybitnego psychologa należała do typu określonego przezeń jako *melancholia progressiva*<sup>42</sup> z domieszką tzw. *idées fixes*<sup>43</sup>. — Treść tych uporczywych myśli była nader swoista: dr Janczewski stał się maniakiem na temat ognia. W ciszy samotnych godzin spędzanych w celi zakładu wypracował cały system tzw. przez siebie „filozofii ognia”, w której nawiązując do teorii Heraklita i jego *panta rhei*<sup>44</sup>, rozwinął zupełnie nowy, obłąkańczo oryginalny światopogląd.

Wkrótce po wykończeniu swego traktatu, a mniej więcej w rok po wybuchu obłędu, umarł nagle w przystępie szału.

Lecz praca szaleńca nie miała przebrzmieć bez echa. Rękopis odnaleziony po śmierci uczonego przechowywał Ludzimirski starannie u siebie, by kiedyś, po zaopatrzeniu go we własne adnotacje i spostrzeżenia, wydać jako pośmiertne dzieło genialnego przyjaciela. Na razie przestudiował pracę jak najdokładniej i zestawivszy z poprzednimi rozprawami zmarłego, starał się uchwycić ogniwa łączące. Orientację w myślach często porwanych, rzuconych na papier bezładnie i bez porządku, ułatwiły wspomnienia wspólnych rozmów na ulubiony temat, jakie niejednokrotnie prowadził ze śp. Janczewskim już w czasie jego pobytu w zakładzie.

Zagadnienie, które oczarowało duszę opętańca w ostatnim roku jego ziemskiej wędrówki, zdawało się pogłębiać z rokiem każdym w umyśle Ludzimirskiego, nabierając kształtów pełnych i wykończonych.

Lecz nie tylko na samym kierowniku lecznicy wywarło dzieło przedwcześnie zgasłego myśliciela tak silne wrażenie. Potężna jaźń Janczewskiego porwała w swoją orbitę i inne dusze. Mimo zupełnego prawie odcięcia go od reszty pacjentów wpływ uczonego zatoczył rychło niewidzialne kręgi. W parę tygodni po przyjęciu go do zakładu zauważył Ludzimirski szczególne zjawisko, które można było wytłumaczyć tylko tzw. „zarazą psychiczną”. Kilku spośród chorych zaczęło nagle zdradzać skłonność ku ideom musowym właśnie na temat ognia i jego symboliki.

Najciekawszy był szczegół, że paru osobników o ustalonej już strukturze obłędu porzuciło świat swego monoideizmu, przechodząc w dziedzinę Janczewskiego: potężna umysłowość umiała znać czarować i pociągać za sobą nawet w stadium chorobliwym...

Ludzimirski, jak zwykle, nie przeciwdziałał. Owszem, stwierdziwszy wprzód, że ów duchowy prozelityzm<sup>45</sup> na rzecz zmarłego przyjaciela i jego „wiedzy ognistej” odbywał się

<sup>42</sup>*melancholia progressiva* (łac.) — termin psychiatryczny na oznaczenie pogłębiającego się stanu chorobliwego przynębienia. [przypis redakcyjny]

<sup>43</sup>*idées fixes* (fr.) — urojenia. [przypis redakcyjny]

<sup>44</sup>*panta rhei* (gr.) — wszystko płynie, wszystko się zmienia. [przypis redakcyjny]

<sup>45</sup>*prozelityzm* (gr.) — skłanianie do przyjęcia innej wiary. [przypis redakcyjny]



u rozmaitych wychowanków całkiem samorzutnie i bez wzajemnego na się oddziaływania, starał się skupić ich w rodzaj stowarzyszenia czy gminy przez ułatwienie im wymiany myśli i częste schadzki na terenie „sali centralnej”.

Po śmierci filozofa wpływ jego wzrósł do niebywałych rozmiarów i rozpanoszył się wszechwładnie po całym zakładzie; wiedza ognista wchłonęła w siebie niemal wszystkie te biedne, zabłąkane w labiryncie myśli dusze, przyćmiewając sobą nikłe roślinki jaźni drugo- i trzeciorzędnych. Prócz kilku niepoprawnych maniaków, chorych na *dementia praecox*<sup>46</sup>, *dementia paralytica progressiva*<sup>47</sup> lub też *paranoia senilis*<sup>48</sup>, reszta pacjentów hołdowała bezwzględnie filozofii ognia.

W rok po śmierci Janczewskiego zawiązało się w lecznicy bractwo „Gebrów”, czyli „Czcieli ognia”, pod protektorem kierownika zakładu. Co miesiąca urządzano wspólne pogadanki i odczyty, omawiano program przyszłych zadań towarzystwa, krytykowano, rozprawiano, debatowano zajadle.

Postać Janczewskiego urosła do rozmiarów proroczych, unosiła się niejako duchowo nad tymi zebraniem; stał się zakładowym świętym, nazwano go swoim Zaratustrą<sup>49</sup>; dzieło jego odczytywane na posiedzeniach nabrało z czasem znaczenia kanonu wiary, przetworzyło się w rodzaj biblii i księgi objawień.

Wkrótce rozwinął się kult religijny ognia. Powstały z łona bractwa wydział, niby rodzaj kasty, miał sprawować wyłącznie czynności kapłańskie. I nazwano tych ludzi mianem *mobed*<sup>50</sup>, czyli kapłanami ognia. Powoli wytworzyła się hierarchia i podział na stopnie wedle rodzaju wtajemniczenia. Wypracowano ceremoniał, ułożono rytuał dla wiernych.

Dominujące stanowisko w bractwie zajął sam Ludzimirski, w którym wyznawcy ognia wyczuli od razu twórcę-organizatora. Kierownik zakładu był zarazem duchowym spadkobiercą Janczewskiego-Zaratustry i pierwszym po nim prorokiem. Stał ponad zbrojem wolny od spełniania obrzędowych przepisów i formuł rytuału. Bracia między sobą nazwali go *Atarem*<sup>51</sup>, czyli geniuszem przyrody.

Drugim duchem twórczym sekty i prawą ręką Ludzimirskiego w organizowaniu bractwa był *Atrarwan*<sup>52</sup>, czyli Człowiek Płomienny, arcykapłan ognistej gminy. Najmłodszy z wiernych i najgorętszy wyznawca ogniowego kultu, przed wstąpieniem w progi zakładu ubogi, gruźlicą płuc zagrożony akademik, teraz urosł do godności duchowego przywódcy dzięki swemu fanatyzmowi i namiętności. Podobno nazywał się kiedyś *Zarębski*, lecz nazwisko jego światowe, wpisane w księgę chorych, wypadło wszystkim z pamięci: utonęło w ognistej sferze nowej wiary, by wyjść z niej oczyszczone z ziemskiej pospolitości i zabłysnąć świetnie w dymach ofiarnych kadzideł, w płomieniach obrzędowych obiat<sup>53</sup>.

On to przy pomocy kierownika stworzył właściwie zmodernizowany kult ognia, przystosował starą wiarę *Awesty*<sup>54</sup> do zmienionych czasów i warunków. Najbardziej prostolinijny i najkonsekwentniejszy z grona braci, ustalił przebieg nabożeństw i ułożył ogniste litanie i hymny. Z jego to polecenia zaprowadzono w zakładzie raz na miesiąc uroczyste nabożeństwo zwane „świętem sześciu ramion ogniowych”, pod wpływem jego płomienych kazań obchodzono dwa razy w roku obrzęd na cześć *Mitry*<sup>55</sup> Cierpiącego.

<sup>46</sup>*dementia praecox* (łac.) — otępienie wczesne, towarzyszące pogłębiającej się schizofrenii. [przypis redakcyjny]

<sup>47</sup>*dementia paralytica progressiva* (łac.) — otępienie towarzyszące postępowemu porażeniu. [przypis redakcyjny]

<sup>48</sup>*paranoia senilis* (łac.) — obłęd starczy, choroba psychiczna objawiająca się rozwojem przesadnych urojeń. [przypis redakcyjny]

<sup>49</sup>*Zaratustra* — prorok i reformator religii staroirańskiej, mazdaizmu, żyjący prawdopodobnie na przełomie VII i VI w. p.n.e. [przypis redakcyjny]

<sup>50</sup>*mobed* — stan kapłański w starożytnej Persji. [przypis redakcyjny]

<sup>51</sup>*Atar* — w religii staroirańskiej nazwa ognia jako elementu oczyszczającego i zabezpieczającego przed złem. [przypis redakcyjny]

<sup>52</sup>*Atrarwan* — stan kapłański w staroirańskim mazdaizmie. [przypis redakcyjny]

<sup>53</sup>*obiata* (daw.) — ofiara składana bóstwom. [przypis edytorski]

<sup>54</sup>*Awesta* — święta księga mająca według podania zawierać objawienie Zaratustry; pochodzi prawdopodobnie z VI w. p.n.e. [przypis redakcyjny]

<sup>55</sup>*Mitra* — bóstwo Persów, źródło światła, opiekun istot żyjących, pan życia i śmierci, wróg demonów. [przypis redakcyjny]

I gdyby nie dzielne poparcie, jakie znachodził<sup>56</sup> Atar w jego fanatyzmie, bractwo nie dałoby się na długo utrzymać w formie choćby zbliżonej do ideału, jaki sobie wymarzył Ludzimirski.

Krnąbrna umysłowość braci potrzebowała silnej ręki, by ją utrzymać na wodzach, wątle i rachityczne rośliności ich myśli dopraszały się ustawicznej pielęgnacji, kapryśna wyobraźnia wymagała ciągłego ujmowania jej w karby, by nie popaść w bezdroża non-sensu.

I mimo obopólnych wysiłków nie zawsze się im udawało. Zgromadzenia często grzeszyły bezładem myśli, wichrowatością pojęć i warcholstwem ruchów. Jakiś ukryty diablik psuł niemal zawsze powagę nastroju, wprowadzając w miejsce pietyzmu i podniosłości żywioł kpiąco-sowizdrzalski.

Już to w ogóle kierunek, jaki po roku przybrała pirolatria<sup>57</sup>, bardzo się nie podobał obu jej twórcom i kapłanom. — Raziła niepoprawna lekkomyślność, z jaką traktowali wyznawcy kwestie wiary i nauki, bolała naiwna zmysłowość w pojmowaniu głębokiej symboliki żywiołu.

Najwstrętniejsza jednak wydała się wyraźna skłonność braci do interpretacji kultu w duchu diaboliczno-seksualnym. Obecność kobiet wśród czcicieli ognia przyczyniła się niewątpliwie w znacznej mierze do wybudzenia niepożądanego elementu.

Metoda niesprzeciwiania się, stosowana dotąd tak skutecznie, niebawem okazała się niebezpieczna, może nawet zgubna: Gebrom zaczęło grozić zupełne rozpasanie etyczne. Kult ognia przeradzał się z wolna, lecz wyraźnie w wyłączną cześć dla Arymana<sup>58</sup> i jego sześciu szatańskich satelitów; zaistniała poważna obawa, że święte obrzędy zamieniają się w końcu na wyuzdane orgie krwi i rozpustnej chuci. Już parę razy zdarzyło się, że w czasie uroczystych zebrań kilku spomiędzy mobedów uprowadziło w głąb sali chętne niewiasty, niby leśne syleny w pogoni za jurnymi nimfami. W chwilach najpodnioslejszych skupień rozlegał się nieraz z kątów lubieżny chichot satyrów lub syleni śmiech pieszczonych miłośnic.

Zgromadzeni przez Atara bracia pozornie ulegali, kajając się w obłudnej skrusze, by ukradkiem, poza plecami arcykapłanów korzystać ze sposobnej chwili, zaspakajając głód zmysłów rozjuszonych samek.

Występek przybrał w końcu charakter groźny i zbrodniczy. Pewnego dnia znaleziono w jednej z cel zwłoki obnażonej siostry Fiammetty z pianą na ustach. Śledztwo wykazało, że wyzionęła ducha załaskotana na śmierć przez jednego z „raspich”, czyli służebnych kapłanów.

Nie pomogła chłosta cielesna wymierzona winowajcy w obecności wszystkich z nakazu Atrarwana; nieodstraszeni przykładem Gebrowie zapuszczali się dalej w manowce porubstwa. Wtedy arcykapłan chwycił się ostrzejszych środków: zaczął ograniczać swobodę braci, nakładał post ścisły, wprowadził biczowanie. By dać przykład, sam nie uchylał się od pokuty i z bohaterским samozaparciem się odrzucał z pogardą ponęty uroczej Pyrofilii, jednej z przodowniczek ogniowego chóru. Czystość kultu podtrzymywał przez wprowadzenie częstszych niż dawniej nabożeństw i ofiar, których wzniosłą symbolikę wyjaśniał w płomiennych, pełnych religijnego patosu przemowach...

Dzisiejsze święto miało być podwójnie uroczyste; schodził się w nim bowiem tzw. „dzień dobrych żywiołów” z rocznicą śmierci zakonodawcy<sup>59</sup> sekty, Janczewskiego.

Toteż przygotowania prześcignęły wszystko, cokolwiek dotąd dla kultu zrobiono; Ludzimirski chciał, by w dzisiejszy wieczór zabłysnął w pełnej krasie egzotyczny kwiat ognia i wydał owoc dojrzały, niezwykle, jak ów krzew cudowny z baśni Dalekiego Wschodu, co raz na wiek stroi się w pęcze<sup>60</sup> i plód rzuca przewonny, jedyny...

Śmierć, Ciało, Śmiech,  
Zbrodnia

---

Rozległ się dźwięk elektrycznego dzwonu na znak rozpoczęcia uroczystości.

---

<sup>56</sup>znachodził (daw.) — forma 3.os.łp r.m.: znajdował. [przypis edytorski]

<sup>57</sup>pirolatria (gr.) — czczenie ognia. [przypis redakcyjny]

<sup>58</sup>Aryman (mit. st. irań.) — bóstwo staroirańskie, będące uosobieniem zła. [przypis redakcyjny]

<sup>59</sup>zakonodawca — tu: dawca zakonu, tj. zasad religii. [przypis edytorski]

<sup>60</sup>pęcze — dziś: pąki, pączki. [przypis edytorski]

Po obu stronach długich, kobiercami wysłanych korytarzy pootwierały się drzwi i z cel zaczęły wychylać się postacie braci, spieszących niecierpliwie na obrzęd. Wszyscy zdążyli do sali centralnej na piętrze, przemienionej już od roku na świątynię ognia. Jedni przybrani byli w pomarańczowe chylaty<sup>61</sup> wschodnich ofiarników, inni wdziali stroje fantastyczne, pełne obrzędowej symboliki i barwy; parę kobiet wystąpiło w białych powłóczystych płaszczach rzymskich westalek.

Kotara oddzielająca świątynię od przyległej poczekalni rozsunała się na dwie strony i przepuściwszy w głąb sanktuarium tłum braci, zamknęła się za nimi z powrotem...

Przedziwny obraz roztoczył się przed oczyma wiernych. W środku sali, obitej od posadzki do stropu kitajką cynobrowożółtawej barwy, wznosił się stopniami w kształcie piramidy o ściętym wierzchołku olbrzymi, po dach domu sięgający ołtarz z cedrowego drzewa. Nad balustradą platformy szczytowej sklepiła się tafla stropu, która w chwili rozpoczęcia obrzędu odwinęła się w górę, odsłaniając nad głowami Gebrów granatowy, gwiazdami usiany firmament nocy lipcowej...

Nagle ze złotej trapezy u szczytu buchnął w niebo ogień ofiarny zażegnany ręką Atrawana; naczelny mobed, ze złożonymi na piersiach rękoma wpatrzony w płomień paleniska, pogrążył się w zbożnym skupieniu. Ubrany w szeroki, purpurowoszkarłatny płaszcz z rytualną przepaską „fadam” na ustach, w miękkim szafranowym zawoju na głowie wyglądał jak wcielony po wiekach awatar<sup>62</sup> któregoś z arcykapłanów boskiego Agni<sup>63</sup>. Twarz jego fanatyczna, ostro zarysowana w krwawym żarze ołtarza górowała wysoko nad tłumem, niby wykute w marmurze oblicze wschodniego bóstwa...

Poniżej ofiarnego stołu, na stopniach piramidy gorzały w lampach z drogich kamieni różnobarwne ognie, jak rozbite na siedem pasm kolory tęczy. Wykwitały płomień zielone z cudnie rznętych ampuł ze szmaragdu, kamienia, który chroni przed epilepsją — łagodne, fiołkowe z czar ametystu — pąsowoszkarłatne ze smukłych liklinosów<sup>64</sup> z krwawnika — doradcy wesela, lub z kornaliny<sup>65</sup> pomocnej w chorobach miesięcznych. Ciemnoblękitne lub modroniebieskie języki drgały w roztruchanach<sup>66</sup> z szafiru, kagankach z turkusku, wlewając w serca struchlałe i smutne leki na trwogę i melancholię — pomarańczowe w baniach z topazu i turmalinu<sup>67</sup>, broniąc przed troską i lunatyzmem, ciemnożółte wśród zwojów muszli z jaspisu, oślepiająco białe w żyrandolach z agatu, rozpodgadzając dusze i lecząc nudę...

A wśród tych płomieni strzelających z kosztownych świeczników, z lamp alabastrowych i z latarni przedziwnych przesuwwały się jak na jakiejś szaleńczej maskaradzie postacie obłąkanych Gebrów w strojach cudacznych. I była ta wielka ogniowa reduta jakby pomieszaniem wszystkich stylów; zdawało się, że cokolwiek ludzkość od prawieków stworzyła w dziedzinie obrzędowej mody, tutaj skupiło się jakby na rewię dziejową. Obok powłóczystych burnusów<sup>68</sup> kapłańskich gorącego Wschodu, syryjskich chlamid<sup>69</sup> słońca, krzyżujących sytością barw płaszczy i tiar służebników Izdy<sup>70</sup>, Mitry i Ammon-Ra-Jowisza<sup>71</sup> snuły się jak senne majaki w dymie ofiarnych kadzideł greckie, niepokalanie białe peplosy<sup>72</sup> i chłajny<sup>73</sup>, dostojne rzymskie togi i dalmatyki<sup>74</sup>. Obok fantastycznych szat ofiarników Brahmy<sup>75</sup>, strojów służebnych wyznawców Malabaru i Cejlonu widniały w kłębach spalanej na ołtarzach mirry chrześcijańskie styły i ornaty, obwieszane amuletami opoń-

<sup>61</sup> *chylat* (z arab.) — suknia honorowa. [przypis redakcyjny]

<sup>62</sup> *awatar* (z sanskr.) — ponowne wcielenie boga albo przodka. [przypis redakcyjny]

<sup>63</sup> *Agni* (z sanskr.) — bóg ognia w mitologii staroindyjskiej. [przypis redakcyjny]

<sup>64</sup> *liklinos* (z gr.) — świecznik. [przypis redakcyjny]

<sup>65</sup> *kornalina* (z łac.) — krwawnik, roślina o właściwościach leczniczych. [przypis redakcyjny]

<sup>66</sup> *roztruchan* (z tur.) — ozdobny puchar biesiadny. [przypis redakcyjny]

<sup>67</sup> *turmalin* (z syngal.) — minerał barwy ciemnej, przechodzącej w czern, zieleń lub granat. [przypis redakcyjny]

<sup>68</sup> *burnus* (z arab.) — opończa z kapturem z białej wełny. [przypis redakcyjny]

<sup>69</sup> *chlamida* (z gr.) — wierzchnie okrycie starożytnych Greków. [przypis redakcyjny]

<sup>70</sup> *Izyda* (z gr.) — egipska bogini zmarłych, patronka czarów. [przypis redakcyjny]

<sup>71</sup> *Ammon-Ra-Jowisz* — egipski król bogów, [synkretyczny bóg] światła i płodności. [przypis redakcyjny]

<sup>72</sup> *peplos* (z gr.) — wierzchnie okrycie kobiece w starożytnej Grecji. [przypis redakcyjny]

<sup>73</sup> *chłajna* (z gr.) — ciepłe wełniane okrycie w starożytnych Greków. [przypis redakcyjny]

<sup>74</sup> *dalmatyka* (z łac.) — długi, biały strój wierzchni z rękawami w starożytnych Rzymian. [przypis redakcyjny]

<sup>75</sup> *Brahma* (z sanskr.) — najwyższe bóstwo w religii hinduskiej. [przypis redakcyjny]

cze indyjskich „lekarzy”, popstrzone symboliką znaków skórzane kubraki murzyńskich cudotwórców...

Na czwartym stopniu piramidy, pod cudną lampą w kształcie rozwartego kielicha lotosu, w którym chelbiły się węże szkarłatnego ognia, stał jeden z raspich i wołał wielkim głosem:

— Jestem Płomień, syn Ognia! Urodziłem się z Iskry, jego kochanki, w godzinie miłosnej tęsknoty.

I wygiął ciało w giętką, esowatą linię płomienia.

— Syn Ognia i Iskry, miłością tchnę cały i żarem pożądań. Pójdź do mnie, wstydliva Scintillo! Ogarzę cię opłotem mych ognistych ramion i rzucę w otchłań słodkiego zapomnienia.

I objął bladą, smukłą kapłankę.

— Panowie i panie! — krzyczał jakiś olbrzymi Gebr, pochylony nad żarem jednego z dymiących ołtarzy. — Mnie wpieryw słuchajcie! Jestem Prometeusz! Ten sam, co przed wiekami wykradł zazdrosnym bogom ogień ze szczytów Olimpu i ludziom przyniósł na Ziemię. Bracia! Bogowie — to kłamcy i podli fałszerze! Złamałem ich moc złośliwą, strzaskalem łańcuchy, co mię przykuły do stoków Kaukazu.

Tu podniósł w górę pudełko z tutek do papierosów.

— Lecz słuchajcie, bracia Gebrowie — ciągnął przyciszonym, tajemniczym głosem. — Ludzkość zgubiła gdzieś w drodze ogień Prometeuszowy, zastępując go innym, który jest tylko jego nędzną podróbką, marną imitacją. I oto, bracia, po raz drugi zstąpiłem ze szczytów pomiędzy was, wielce ukochani, by wam święty żywioł powtórnie ofiarować. Mam jeszcze jedną iskierkę — ukryłem ją na zapas w tej skrzynce cudownej, którą zowią *narteks*<sup>76</sup>. Oto ona!

I otworzył z chytrym uśmiechem na zawiędłych<sup>77</sup> ustach pudełko. Z wnętrza uniosło się parę uwieczonych much i z bzykiem poszybowało w głąb świątyni.

— To muchy — wydeła pogardliwie wargi jakaś czarnowłosa, na pół obnażona hetera, podnosząc w górę brwi pociągnięte antymonem<sup>78</sup>.

— To iskra boża, kochanie — odpowiedział Prometeusz, wlokąc ją już w ciemniejszą partię sali poza promieniem ołtarzy.

W głębi świątyni odezwał się ktoś zwierzęcym rykiem:

— Przede mną się kórcie, przede mną drżycie! Dahaka<sup>79</sup> jestem, sługa pierwszy potężnego Arymana. Mam trzy łby i trzy pary oczu. Mieszkam z panem moim na górze Amura i wspieram go w walkach z przebrzydłym Ahura-Mazdą<sup>80</sup>.

I zaniósł się potwornym, ścinającym krew w żyłach rechotem.

Na północnej ścianie piramidy tarzał się w konwulsjach jakiś chudy, o hektycznych<sup>81</sup> wypiekach na twarzy opętaniec, rzucając od czasu do czasu w tłum na dole urywane groźby:

— Patrzcie tu na mnie, niewolnicy okrutnego Arymana! Jestem jednym z jego towarzyszy — duchów elementarnych, diwem<sup>82</sup> pożaru i czerwonego moru. Patrzcie, jak się tarzać muszę w spazmach ogniowej katuszy. Pożar mam w żyłach, ogień w krwi... *Eheu, eheu*<sup>83</sup>!

I toczył krwawą pianę z ust na stopnie ołtarza.

— He, he, he! — zachichotał jakiś brat w kusym zielonym fraku. — Tere, fere, kuku, strzela baba z łuku! Pozdrowienie wszystkim od Lucypera! *Macte virtute estote, carissimi! Diabolus claudicans sum* — *vulgo*<sup>84</sup> Duliban lub Kostruban staropolski, jeśli milej dla ucha. Przychodzę wprost z piekieł. Uf, tam gorąco! Grzeszki swędzą, braciszkanie mili

<sup>76</sup>*narteks* (z łac.) — puszkę do przechowywania leków. [przypis redakcyjny]

<sup>77</sup>*zawiędły* — dziś: zwiędły. [przypis edytorski]

<sup>78</sup>*antymon* — metal srebrzystobiały, kruchy. [przypis redakcyjny]

<sup>79</sup>*Dahaka* (mit. st. irań.) — demon na usługach Arymana. [przypis redakcyjny]

<sup>80</sup>*Abura-Mazda* a. *Ormuzd* (mit. st. irań.) — bóg światła i dobra. [przypis redakcyjny]

<sup>81</sup>*hektyczny* (z gr.) — trawiący, wyniszczający, gorączkowy; podniecony, zaniepokojony. [przypis edytorski]

<sup>82</sup>*diw* (mit. st. irań.) — zły duch, demon. [przypis redakcyjny]

<sup>83</sup>*eheu* (gr.) — wykrzyknik: hej! [przypis edytorski]

<sup>84</sup>*Macte virtute estote, carissimi! Diabolus claudicans sum, vulgo* (łac.) — Dzielnie spisaliście się, najdrożsi. Jestem diabeł kulawy, pospolicie [w domyśle: pospolicie mówiąc; red. WL]. [przypis redakcyjny]

— grzeszki palą, o palą, aż skóra trzeszczy! Zwłaszcza te cielesne, he, he, he — piękne siostrzyczki — he, he, he! Afekty *carnis*<sup>85</sup> lubieżne...

Gwizdnął przeciągle w palce i przepadł w tłumie. Uroczystość powoli przeradzała się w bachanalie szaleńców. Zmącone oddechami ust płomienie lamp pochylały się żalobnie w jedną stronę, niby ręce błagalnie w dal wyciągnięte. W powietrzu unosiły się zmieszane wonie lewantyńskich<sup>86</sup> pachnidel, zawrotny zapach olejków, żywicy i swąd spalonego drzewa. Ktoś zarzucił na klosze lamp płonących dotąd jasnym, oślepiająco białym światłem acetyliny<sup>87</sup> czarne, koronkowe ciemniki, że zaczęły gorzeć spoza zasłon ponuro jakoś i żalobnie...

Na estradzie obciążonej czerwonym suknem zjawilo się parę pijanych już winem obiat ofiarnic i otoczyły korowodem tanecznym jakiegoś pięknego młodzieńca we wieńcu fiołkowym na skroniach.

— Miejsce dla Agni-Erosa! — wołał półnagi oblubieniec. — Miejsce dla boga miłości i ognia! Otom jest najwyższym i ostatnim stopem dwóch bóstw w jednej postaci — ideałem przeczytym przed wiekami, zrealizowanym za dni dzisiejszych!

— Hosanna! Agni-Erosie! Witaj, Ogniu miłości! Cześć i chwała ci, Miłośniku Ognisty! — odpowiedzieli zgodnym chórem Gebrowie.

A on, demonicznie uśmiechnięty, zdierał już szatę z jednej z tańczących wkoło niego tyjad<sup>88</sup>.

Ludzimirski-Atar zmarszczył się. Wyciągnął groźnie rękę w kierunku rozpasanej grupy i spojrzał bystro na szczyt piramidy.

Rozległ się nagle spiżowy dźwięk trąby i spłynąwszy z platformy stropowej w mościeżnych kręgach, przejął dreszczem rozwydrzoną zgraję. Ścichły momentalnie cyniczne chichoty, pogasły wykwitłe już na ustach uśmiechy.

Przechylony przez balustradę Atrarwan utopił surowo spojrzenie w twarz Agni-Erosa i przemówił:

— Marny człowieku, dlaczego przybrałeś fałszywe imię i braci swych zwodzisz? Puste są słowa twoje i dudnią jak próżne sądku zdunowe. Ruja i porubstwo w ustach twoich, lubież i wszeteczność w sercu.

Tu podniósł głos i zstąpiwszy o parę stopni w dół, tak mówił do szalonych współbraci:

— Otoście zatracili ducha światłości i prawdy, a poszli drogą mroku i zbrodni. Otoście skalali czystość świętego Agni i obniżyli haniebnie ton wiary. Zbezczeszczone są przez was ofiarne ołtarze, zohydzony boski Ogień przez złe, występne żywioły, które panoszą się teraz w świątyni dzięki wam, o małoduszni!

Posunął się znów parę stopni w dół i nachylił nad dymiącym ołtarzem u węgła piramidy. Maską jego ostra, fanatyczna wyglądała w blaskach pęlgających płomieni jak zagniewana twarz kóregoś z bogów.

— Bo powiedział Zoroaster<sup>89</sup>: „Wybierajcie! Wokoło człowieka porusza się cały świat geniuszy dobrych i złych. I zaprawdę jest człowiek przez niebo najbardziej umiłowanym stworem. Lecz zło jest też wolną przyczyną niezależną i trzeba je ujarzmić i ujarzmione precz odrzucić”. Lecz wy, małoduszni i słabego serca, nie tylkoście<sup>90</sup> go nie ujarzmili, lecz, owszem, ułatwili mu przystęp, hołdując swym zmysłom. Przeto otwarliście bramę mocom złym i występny. I wtargnął w świątynię waszą fałszywy i kłamliwy język, któremu na imię Aryman, i jego sześciu szatańskich towarzyszy i sług: diwy.

— Atrarwanie! — przerwał mu jakiś głos ochrypły z tłumy — szanujemy twą wiedzę głęboką i duszę stalową, lecz i ty człowiekiem tylko jesteś i wszystko, cokolwiek powiesz, względne jest tylko i niepewne. Wszak nie zaprzeczysz, że ogień uważają ludzie od dawna za symbol chuci i pożądań zmysłowych? Czemuż się gniewasz i dziwisz?

<sup>85</sup> *afekty carnis* (z łac.) — namiętności ciała. [przypis redakcyjny]

<sup>86</sup> *lewantyński* (z wł.) — wschodni, pochodzący z krajów wschodu śródziemnomorskiego. [przypis redakcyjny]

<sup>87</sup> *acetylina* (z łac.) — gaz świetlny, wytwarzany działaniem wody na karbid. [przypis redakcyjny]

<sup>88</sup> *tyjada* (z gr.) — bachantka, kobieta biorąca udział w starogreckich obrzędach religijnych ku czci Dionizosa-Bachusa. [przypis redakcyjny]

<sup>89</sup> *Zoroaster* — oboczna forma imienia Zaratustra. [przypis redakcyjny]

<sup>90</sup> *nie tylkoście go nie ujarzmili, lecz (...) ułatwili mu* — daw. konstrukcja z ruchomą końcówką czasownikową, która odnosi się do dwóch kolejnych czasowników; inaczej: nie tylko go nie ujarzmiliście, lecz ułatwiliście mu. [przypis edytorski]

Arcykapłan gwałtownym rzutem podniósł w niebo roznamiętnioną twarz. Zapano-  
wało głuche milczenie. Zdawało się przez chwilę, że nie znajdzie odpowiedzi. Lecz on  
znać tylko siły zbierał i słów szukał. Bo nagle, wyciągając ramiona ku Gebrom, zagrział  
potężnym głosem wschodniego muezina:

— Falsz i kłamstwo! Tu właśnie tli zarzewie obłędu, w jaki popadła wasza wiara.  
Ogień od prawiaków jest żywiołem czystym i dobrym, bo rodzi ciepło i ruch, bo daje  
życie. Symbolika, o którą potraciłeś, opętany bracie, jest tworem późniejszym, wtórnym  
i fałszywym: to obraz zwyrodnienia i pomieszania pojęć pierwotnych bliższych prawdy  
i ideału. Ojcowie nasi tak czcili święte Agni, że przy ofiarach zasłaniali usta przepaską  
fadam, by nie kalać oddechem czystego żywiołu. Ogień jest elementem nieskalanym i ma  
moc oczyszczającą. Czyżbyście zapomnieli o wierze chrześcijan w czyściec?

Umilkł na chwilę i z falującą wzruszeniem piersią patrzył gdzieś daleko w przestrzeń.  
Wśród uroczystej ciszy słychać było tylko pryskanie przepalających się na ołtarzach bier-  
wion i trzask płomieni...

Nagle z grona kobiet u stóp piramidy wysunęła się smukła, jasnowłosa kapłanka  
w stroju rzymskiej westalki i podszedłszy do arcykapłana, zarzuciła mu na szyję parę  
różowych, strojnych w manele<sup>91</sup> ramion.

— Pyrofila! Pyrofila! — poszedł szmer po tłumie.

— Kochanku mój — szeptała kobieta, tuląc się do ametystowego pektorału Atrarwa-  
na. — Czyż nie jestem młodą i pełną życia? Czyż nie stokroć piękniejszą rzeczywistością  
niż ta chłodna i zimna kraina ideału, o której zresztą tak pięknie nam mówisz? Pójdź ze  
mną pomiędzy braci i kochaj jak inni!

I podawała mu karminowe usta.

Lecz Atrarwan z błyskiem dzikiego gniewu w oczach odtrącił ją na odległość ramienia  
i nagle piorunowym ruchem wyciągnąwszy zza pasa nóż ofiarny, zatopił go po rękojeść  
w piersi Pyrofilii.

— Giń, ładacznico!

Upadła bez jęku, krasząc stopnie ołtarza rubinami krwi młodej, zapędnej.

A on, podnosząc w górę ramię z ociekającym posoką nożem, zwrócił się do oniemia-  
łego z przerażenia tłumy:

— Ofiarowałem ją Ormuzdowi. Krew jej przelana na ołtarzu Ognia niech przynie-  
sie zwycięstwo duchowi światła i prawdy w walce z Arymanem o świat, toczącej się od  
prawiaków.

Tu rzucił zbroczony pugnał w ognisko i wyrwawszy z pierścienia płonąca żagiew,  
pochylił ją w linii poziomej:

— Bracia! Jakżem szczęśliwy, jakżem rad! Nadeszła chwila niezwykła, wybiła godzina  
prześiłu. Bracia! Stańmy się ośrodkiem ludzkości, symbolem jej, walczącej w krwawym  
pocie o wyzwolenie duszy! Bracia! Ofiarujmy życia nasze za grzechy świata! Przywróc-  
my czystość świętemu Agni, spalając się cicho w Jego płomieniach! Gdy z ciał naszych  
pozostaną tylko zgłiszczą, gdy wiatr rozniesie na krańce świata popioły naszych kości,  
zabłyśnie dzień zwycięstwa Dobra i Jasności. Wtedy Ogień przerodzi się w Światło i Or-  
muzd święcić będzie tryumf Dnia Prawdy. Bracia! Chrystusem ludzkości bądźmy! Przez  
ogień oczyścimy i zbawmy świat! Hosanna, bracia, hosanna!

I z bliszczącymi szaleństwem oczyma podsunął żagiew pod kotarę świątyni...

Nastąpiła szczególna, jedyna w swym rodzaju przemiana. Czad krwi przelanej, fana-  
tyzm Atrarwana i widok płonącej zasłony podziałały na tłum z mocą sugestii. Dziwna  
logika rzuciła te dusze obłąkane na szlaki szaleńczej ideologii: poddali się woli arcykapła-  
na. Kilkadziesiąt rąk wyciągnęło się po gorejące lampy, kaganki, świeczniki i zdobywszy  
je w mgnieniu oka, zaczęło podkładać ogień pod ściany sali...

Wkrótce zajęły się drewniane obicia, zatliła podłoga. Wśród kłębow dymu przewala-  
jących się po sali przemykały postacie szalonych podpalaczy, duśliły się kapłańskie fezy,  
turbany i ureusy<sup>92</sup>. Wzdłuż ścian, pomiędzy żertwnikami<sup>93</sup>, po stopniach piramidy czoł-  
gały się przeguby ognia, dźwigały czerwone łby, jeżyły krwawe grzywy...

<sup>91</sup>manele (z łac.) — bransolety. [przypis edytorski]

<sup>92</sup>ureus (łac.) — metalowy wąż, znajdujący się na nakryciach głowy królów egipskich, symbol władzy mo-  
narszej. [przypis redakcyjny]

<sup>93</sup>żertwnik (z ros.) — ofiarnik. [przypis redakcyjny]

Ogień, Brud

Ofiara, Kobieta, Mężczyzna,  
Erotyzm, Morderstwo,  
Idealista, Religia

Na platformie szczytowej w wieńcu ognistych języków klęczał Atrarwan zatopiony w mistycznej zadumie. A gdy już z dołu doszły go jęki duszących się ofiar, gdy złota obręcz Agni zaciskać się jąła wokoło niego coraz węższym pierścieniem i płomień lizały mu stopy, zaintonował hymn potężny i groźny zarazem:

Dies irae, dies illa  
Solvat saeculum in favilla...

A z dołu, z otchłani ognia i dymów odpowiedział mu chór umęczonych głosów:

Recordare, Jesu pie,  
Quod sum causa Tuae viae:  
Ne me perdas illa die<sup>94</sup> Dzień on wielki w Bożym gniewie  
Wieki skruszy w proch, w żarzewie...

Przepuść, Jezu, mej przewinie.  
Żem Cię lżył, przepomnij ninie  
W tej straszliwej, w tej godzinie...

(Tłum. J. Zahradnik)....

---

Nad ranem, gdy już pogasły gwiazdy i blade jutrznia zaświtała na niebie, pozostały z zakładu dr. Ludzimirskiego tylko dymiące zgliszcza; zgorzał doszczętnie w płomieniach obłąkańczej *auto da fé*<sup>95</sup>.

## Płomienne gody

Kobierzycki spojrział na zegarek. Była trzecia po południu. W zakładzie dr. Paderny wolno było odwiedzać chorych dopiero o czwartej; pozostawała zatem jeszcze cała długa godzina...

Kobierzycki rzucił okiem raz jeszcze na świeżo sporządzony testament, którym zapisywał cały swój wielki majątek przytułkowi dla ubogich, przebiegł raz jeszcze parę początkowych linii pisma i złożyłszy akt we czworo, schował go do szuflady biurka.

Mimo woli spojrzawszy w lustro naprzeciw, smutno uśmiechnął się: w świetnie skrojonym żakiecie, z białą pikową kamizelką i czarnym, artystycznie związanym krawatem było mu bardzo do twarzy; Stacha tak lubiła go w tym stroju. Biedna, nieszczęśliwa Stacha...

Utkwił spojrzenie w portret bujnej, przepysanej kobiety, zawieszony nad łóżkiem. Dziś ledwo cień pozostał z dawnej krasy. Okropna choroba umysłowa zwarzyła jej egzotyczne piękno prawie zupełnie. I to w tak krótkim stosunkowo czasie! Rok niespełna!

A winę ponosił on, tylko on — Władysław Kobierzycki, ceniony niegdyś powszechnie chemik i wynalazca.

Wina — cha, cha, cha! Jego wina! Tragedia raczej, nieszczęście, zrządzenie losu, wszystko, tylko nie wina!

Bo cóż był winien on, że okrutny jakiś przypadek stworzył zeń zwyrodniałą anomalię, jakiegoś wyjątkowego osobnika, który nie umiał spełniać zadań życiowych jak inni ludzie, nie mógł używać życia i jego rozkoszy w zwykły, normalny sposób? W czym tu zawinił on, dziecko poczęte może w szale płomieni, w grozie pożaru, co tysiącem purpurowych wstęg zawisnął nad łonem matki w godzinę miłosnych spełnień?...

<sup>94</sup>*Dies irae, dies illa...* (łac.) — początkowe i środkowe wiersze hymnu Tomasza z Cellano (XII w.) *Dies irae* [tj. *Dzień gniewu*]: [przypis redakcyjny]

<sup>95</sup>*auto da fé* (portug.) — ogłaszanie i wykonywanie wyroków Inkwizycji, w szczególności palenie skazanych na stosie, dosł.: akt wiary. [przypis redakcyjny]

Opuścił głowę na piersi i zamyślił się...

Pod przymkniętą powieką zaczęły wykwiatać obrazy przeszłości: dzieciństwo, młodość urodziwa i pierwsze akordy lat męskich...

Z chaosu wspomnień wygrążyło<sup>96</sup> się na powierzchnię i przykuło uwagę parę najważniejszych dlań w tej chwili, parę zasadniczych momentów, w których ujawniła się tragiczna zagadka jego istoty...

Do dwudziestego czwartego roku życia Kobierzycki nie odczuwał choćby najłżejszych wrażeń erotycznych; płeć i jej sprawy były mu dziedziną zupełnie obcą i nieznaną. Ze zdumieniem patrzył na zabiegi miłosne innych, których nie rozumiał, z chłodną obojętnością przechodził obok najponętniejszych kobiet. Koledzy śmiali się z niego, obdarzając przydomkiem „czystego Józefa”; drwiny znosił spokojnie, wzruszając lekceważąco ramionami.

Aż zaszedł pewnego dnia wypadek, który wstrząsnął nim potężnie, budząc na krótką chwilę uspione życie płciowe. Pamiętał tę dziwną godzinę jak dziś.

Było to w Żmigrodzie, w lecie, podczas pożaru. Dom krewnych, u których spędzał wtedy wakacje, padł jeden z pierwszych ofiarą płomieni. Pamiętał najdrobniejsze szczegóły tej dziwnej, krwawej nocy; krzyk kobiet, hałas służby, gorączkowe wyrzucanie rzeczy przez okna.

Na widok pierwszych języków ognia nagle jakby przeistoczył się cały. Jakieś nieznanne siły napływać zaczęły w jego dotąd chłodne, zrównoważone jestestwo, jakieś prądy gorące, zapędne<sup>97</sup> zaczęły kipieć w żyłach.

Silnie podniecony wyszedł ze swego pokoju na lewym skrzydle domu i zdążył ku wyjściu. Przechodząc przez sypialnię krewnych, spostrzegł kuzynkę swoją, szesnastoletnią Madzię, która na pół ubrana porwała się z łóżka do ucieczki. Wtedy to po raz pierwszy w życiu poczuł się mężczyzną. Ta dziewczyna, dotąd mu zupełnie obojętna, na którą aż do tej chwili nie zwracał niemal uwagi, nagle wydała mu się dziwnie pożądaną. Dreszcz krwi przebiegł ciałem i wywołał rumieniec wstydu.

— Boisz się, Madziu? — szepnął gorąco, tuląc ją bezradną w ramiona.

— Okropnie — odpowiedziała również zmieszana dziewczyna. — Chodźmy stąd, Władku! Tędy, przez jadalnię, chodźmy prędzej! Patrzysz na mnie tak dziwnie.

— Poczekaj! Jeszcze czas. Widzisz te płomienie tam na ganku? Nieprawdaż, jakie to piękne i potężne? Cudowny żywioł!

I błędził ręką po jej odkrytej piersi.

— Władku! Teraz nie można. Kocham cię, Władku, lecz teraz nie pora. Ogień już przedostaje się przez okno salonu do środka. Uciekajmy!

I pociągnęła go za sobą.

Niechętnie dał się wyprowadzić poza obręb płonącego domu; potem pochłonęła ich i rozdzieliła ciżba domowników i tłum ratujących.

A nazajutrz rano po pożarze, gdy zakłopotana Madzia podnosiła nań co chwila pijane miłością oczy, odwrócił się chłodno i w parę dni potem wyjechał. Czar płci, rozpętany ogniem pożaru, przygasł wraz z nim bez śladu: Kobierzycki był wobec kobiet znów zimny i obojętny...

Minęło parę lat cichej, gorliwej pracy. Powoli zdobył sławę zdolnego chemika i uzyskał katedrę w wyższej szkole technicznej.

Mimo intensywnych studiów młody uczonec nie unikał zabaw. Owszem, lubił towarzysstwo i bywał<sup>98</sup> dużo; wśród wytwornej socjety warszawskiej był postacią popularną i chętnie widzianą — zwłaszcza u płci nadobnej. Jego odporność na wdzięki niewieście podniecała ambicję głośnych uwodzicielek serc męskich, ale bez widocznego powodzenia. U pięknych pań i zalotnych dziewic uchodził za twierdzący nie do zdobycia. *Beau monsieur impassible*<sup>99</sup> — oto przydomek, pod jakim znał go powszechnie wykwinny świat niewieści.

Tak doszedł do lat męskich spokojny, pogodny, nietknięty burzą namiętności.

<sup>96</sup>wygrążyć się (neol.) — zapewne przeciwieństwo słowa: *pogrążyć się*; wydobyć się z głębi, z toni. [przypis edytorski]

<sup>97</sup>zapędny — pochopny. [przypis edytorski]

<sup>98</sup>bywać (daw.) — udzielać się towarzysko; uczęszczać na przyjęcia i imprezy (premiery teatralne, koncerty itp.), na których spotyka się elita towarzyska. [przypis edytorski]

<sup>99</sup>*Beau monsieur impassible* (fr.) — Piękny obojętny (niewzruszony) mężczyzna. [przypis redakcyjny]



W parę miesięcy po przekroczeniu równika życia powtórzyło się nagle to sprzed laty szczęściu i — rzecz szczególna — w podobnych warunkach; podczas pożaru.

Był wtedy tylko jednym z widzów, którzy tłumnie otaczali płonący dom. W szale rozpetanych nagle popędów, wśród zgłębku ludzi, wśród chaosu głosów posiadał po raz pierwszy w życiu jakąś młodą, czarnowłosą kobietę w czerwonym szalu na ramionach — opodał miejsca katastrofy, niemal na oczach ludzkich na jednej z ławek pobliskiego skweru ocienionej krzewami bzu. Posiadł ją w pożarze ognia i krwi i odszedł na zawsze nieznanym. Do dziś dnia nie wiedział nawet, kim była pożarna kochanka i jak się nazywa; zgubił ją w tłumie bez żalu i bez tęsknoty powtórzeń...

W trzydziestym piątym roku życia poznał na balu medyków Stanisławę Olszycką, precudną, rudowłosą, dwudziestoletnią wdowę po profesorze wszechnicy. Pani zajęła się nim od razu i wyróżniała go widocznie z grona wielbicieli. Był piękny, młody, sławny i uchodził za niezwykłego...

Widywali się zrazu na zabawach publicznych, w teatrze, na koncertach, potem u niej w domu, w ślicznej „Goplanie”. Bywał chętnie, bo mu to pochlebiało, lecz bez gorętszych uczuć. Pani Olszycka dawała mu nieraz do zrozumienia, że mógłby zostać jej mężem, obiecywała wspierać karierę dzięki poparciu wpływowych krewnych: Kobierzycki udawał, że nie rozumie, lub grzecznie, lecz stanowczo uchylał się przed propozycjami. Za dumny był, by ją oszukiwać, za prawy, aby brać za żonę kobietę, do której nie czuł pociągu. Stasia była mu wtedy tylko nader sympatyczna — lubił ją ogromnie i podziwiał jako piękny twór przyrody z pobudek czysto estetycznych — oto wszystko. O właściwych uczuciach erotycznych wtedy przynajmniej nie mogło być mowy...

Aż nadszedł pamiętny dla obojga 22 sierpnia r. 1891. Mieli tego dnia odbyć wspólną wycieczkę automobilem za miasto. Koło godziny czwartej po południu Kobierzycki, wytworny i elegancki jak zwykle, szedł Lipową w stronę „Goplany”. Na zakręcie, tam gdzie ulica, tworząc silny kąt, zmierzała prosto do willi, uczył swąd dymu i usłyszał gwar zmieszanych głosów.

„Gore!” — pomyślał, wpadając w stan szczególnego podniecenia. Po chwili wiedział już, gdzie wybuchł pożar: czarny słup dymu, przerywany od czasu do czasu żagwią płomienia, wykwitał nad willą pani Olszyckiej...

Pędem rzucił się w głąb ulicy i w parę minut potem przeciskał się gwałtownie przez gawieź ludzką, która półkolem otoczyła dom, tamując dostęp ratującym.

— Z drogi — krzyczał półprzytomny. — Z drogi!

Wpadł przez oszkloną werandę do płonącego wnętrza.

— Pani Stanisławo! — wołał, szukając jej po pokojach. — Gdzie pani?

Nie zważając na tumany duszącego dymu ani na ogień, który już opanował prawe skrzydło willi, rzucił się najpierw w tę zagrożoną stronę.

Lecz tu jej nie znalazł. Osmolony, czarny od kopcium, z nadpalonymi włosami, wydarł się płomieniom i wpadł przez przedpokój do sypialni. Tu zastał ją na pół omdlałą z przerażenia, przerzuconą bezradnie przez łóżko. Jej długie włosy o połysku miedzi, wymknąwszy się z uwięzi splotów, rozsypały się złotym płaszczem na poduszce.

— Jakżeś piękna! — zaszeptał, podając jej szklankę z wodą. — Jakżeś niezwykle piękna!

Stacha otworzyła oczy i poznała go. Uśmiech tkliwy i słodki rozjaśnił jej cudne rysy:

— Drogi panie!

I wśród huku płomieni, wśród kłębow dymu oddała mu się w niewysłowionej rozkoszy.

Pijany szczęściem, uniósł ją w ramionach przez okno i złożył lekko, ostrożnie, jak dziecko, na murawie parku poza willą...

Tymczasem przybyła w krytycznej chwili straż ogniowa ocaliła dom; dzięki sprawności i energii strażaków udało się ochronić „Goplanę” od zupełnej zagłady. Szkody poczynione przez ogień naprawiono w ciągu kilku tygodni i w miesiąc po wypadku piękna wdowa mogła przyjmować gości jak dawniej w swym pysznie urządzonej salonie.

Zachowanie się Kobierzyckiego po wypadku było dla Stachy zagadką. Przez dłuższy czas po pożarze nie pokazał się w willi i jakby jej unikał. Dopiero po kilkakrotnym zaproszeniu przyszedł wielce onieśmielony i zakłopotany. Z namiętności, która wybuchła tak

żywiłowo na chwilę, nie pozostało ani śladu: był znów, jak dawniej, wytworny i uprzedzająco grzeczny, lecz nie wykraczał poza granice zwykłej znajomości. Zdawało się, że zupełnie zapomniał o tym, co zaszło między nimi podczas pożaru.

Mimo widocznych objawów uczucia ze strony Olszyckiej zachowywał się wstrzemięźliwie i z rezerwą. O powtórzeniu sceny z 22 sierpnia nie mogło być mowy; czuł się do czegoś podobnego wprost fizycznie niezdolny; stąd płynęła przesadna powściągliwość wobec wylewów uczuciowych Stachy, których nie mógłby po męsku zaspokoić.

Wejrząwszy jednak głębiej w własne wnętrze, zauważył, że w jego życiu erotycznym zaszła pewna zmiana: mimo zupełnej obojętności zmysłów odczuwał dla złotowłosej kobiety silniejszą niż dawniej sympatię; lecz było to uczucie zgoła platoniczne, jeśli w ogóle to, co dla niej odczuwał, można było nazwać uczuciem. W każdym razie wkrótce zrozumiał, że rozstanie byłoby dlań obecnie rzeczą nader przykrą, jeśli nie bolesną; potrzebował jej towarzystwa i z nietajoną radością śpieszył na spotkanie.

Lecz jej to nie wystarczało. Pani Olszycka pokochała go miłością silną i namiętą kobiety zdrowej i normalnej i pragnęła, aby odpowiedział podobnie. Jego niewytłumaczony opór, zwłaszcza po tym, co zaszło, obrażał jej godność niewieścią i drażnił zmysły.

Stąd przyszło niebawem do gwałtownych i gorących starć.

Pewnego wieczora odprowadzał ją z teatru o dość już spóźnionej godzinie. Przed bramą domu chciał się pożegnać, lecz niemal gwałtem wciągnęła go do wnętrza. Ustąpił i zjedli razem kolację. Po usunięciu się służby przesiadła do niego na sofę i objąwszy niespodzianie za szyję, pocałowała go namiętnie w usta.

Kobierzycki nie oddał pocałunku, lecz lekko odsuwając się, zdjął łagodnie pieszczące go ramię.

Na twarzy Stachy odbił się wyraz niezmiernego bólu:

— Pogardzasz mną? — zapytała prostując się dumnie.

— Nie, przeciwnie. Często i szanuję jak mało kogo. I dlatego tak postępuję.

Ściągnęła wspaniałe łuki brwi i wpatrywała się weń przenikliwie:

— Nie kochasz mnie!

Kobierzycki powstał i, ujmując łagodnie przegub jej ręki, odparł spokojnie:

— Przeciwnie, kocham panią, lecz nie tak jak inni. Kocham panią, Stacho, lecz na swój sposób. Nie umiem inaczej. Miłość moja pozbawiona jest zmysłów.

— W takim razie jak mam tłumaczyć sobie twoje postępowanie *wtedy*? — zapytała, oblewając się purpurą wstydu na wspomnienie godziny rozkoszy.

— Przepraszam panią — szepnął, pochylając się ku jej ręce. — Obraziłem cię. To była u mnie chwila wyjątkowa, gdy nie władałem sobą: byłem jak nieprzytomny.

Przesunął dłoń po twarzy, jakby chcąc zetrzeć z niej głęboką rysę męki, co przeorała ją w tym momencie.

— Przebacz, Stacho, przebacz! Błagam cię! Podczas pożaru nie odpowiadam za siebie.

Rzucił się jej do stóp, obejmując rękoma kolana.

— Jestem anormalny — wyjąkał, kryjąc twarz w dłoniach. — Jestem zwyrodniały, niepodobny do innych. Znamię ognia spoczęło na mnie. Jestem jego dzieckiem i igraszką. Nie wolno mi zbliżyć się do ciebie. Nie mogę zostać twym mężem, Stacho. Muszę pożegnać cię i wyjechać stąd na zawsze; nie chcę cię dłużej zwodzić. Pokochałaś kalekę.

Zamilkł i łkanie zaczęło wstrząsać jego piersią. Po raz pierwszy w życiu Kobierzycki płakał nad swą ułomnością, po raz pierwszy poznał, że jest zwyrodniałym wyjątkiem.

Stacha podniosła go z kłęczek i, tuląc jego głowę do piersi, szeptała głosem miękkim, pieściwym słowa pociechy i miłości.

— Jeśli mnie kochasz naprawdę, powinieneś mnie poślubić. Gotowa jestem wyrzec się rozkoszy fizycznej, byle zostać twoją żoną i mieć cię przy sobie. Czy sądzisz, że nie potrafię poprzestać na stosunku czysto idealnym? Kocham cię, Władku!

Kobierzycki wahał się. Wielka miłość tej kobiety odurzała go; nieprawdopodobny wydał się ogrom poświęcenia i abnegacji<sup>100</sup>. Wreszcie ustąpił i zgodził się. W miesiąc potem została jego żoną.

<sup>100</sup>abnegacja (z łac.) — wyrzeczenie się; brak troski o swój stan, wygląd i korzyści. [przypis edytorski]

Lecz dzień ślubu miał być dniem katastrofy. Już na parę dni przedtem Stacha wyglądała na silnie zdenerwowaną: to bladła bez powodu, to nagle krasniała rumieńcem; chwilami zdawało się, że popada w tępą, smutną zadumę...

Gdy po uczcie weselnej nowożeńcy zostali sami, wprowadziła go z błyszczącymi podnieceniem oczyma do swego buduaru. Na chwilę Kobierzycki został sam.

Czuł się dziwnie nieswojo, jakby zawstydzony. Usiadł na otomanie i zapalił papierosa. Wypuszczając pod strop kłęby niebieskiego dymu, usiłował ująć sytuację. Wydała się nijaka, arcyśmieszna.

— Głupia historia — mruknął strzepując popiół z kłapy fraka.

Wtem spoza kotary, oddzielającej buduar od sypialni, wyszła jego żona...

Była zupełnie naga. Przepysnie wykute jej ciało oślepiało śnieżną białością na tle płomiennego płaszcza włosów, które kaskadą spływały niemal do stóp. W ręce trzymała płonąca ampułkę w kształcie złotego lotosu. Kołysząc się na cudnie sklepionych biodrach, postąpiła ku niemu z uśmiechem pijanej menady.

— Dzisiejsza noc należy do nas: noc ogniowego cudu, twoja noc, mężu mój i kochanku. Jakżem szczęśliwa i dumna!

Przytknęła płomień kaganka do kotary; powoli wśród ciszy przytajonych oddechów draperia zajęła się; długa, wąska wstążka ognia zaczęła wspinać się brzegiem zasłony pod sufit. Wtem z wnętrza domu odezwał się suchy trzask trawionych sprzętów i w nozdrza uderzyła woń spalenizny.

— Patrz!

Odchyliła płonąca kotarę, ukazując sypialnię. Kobierzycki ujrzał w głębi kotłujący kłęb płomieni.

— Czyż nie piękny widok, drogi mój? — zapytała wypuszczając z ręki ampułkę. I zarzuciła mu na szyję parę cudnych ramion.

— Czyżbyś ty sama? — zaszeptał cały w dreszczach złowieszczej namiętności.

— Tak, to moje dzieło. To nasze gody ogniowe.

I obsunęła się wraz z nim na otomanę.

Ogarnęło ich szaleństwo pożaru. Wśród huku płomieni, wśród trzasku przepalanych belek, wśród węzowych splotów dymu świecili noc poślubną. Żar ognia otaczał ich coraz węższą obęczą, coraz bliżej przyczołgiwały się macki pożaru.

Wtem rozległ się okropny śmiech Stachy. Kobierzycki oprzytomniał i ujrzał się w środku ognistej topieli. Dym wygryzał im oczy, piekł ciała, parzył skórę.

— Cha, cha, cha! Cha, cha, cha! — szydził rozzwierający chichot kobiety.

Zarzucił jej na głowę jakąś chustę i smagany biczami ognia wypadł wraz z nią na podwórze. W tej chwili strawiony do przyciesi strop zawalił się i z głuchym łomotem runął w węzowisko płomieni...

W miesiąc potem odwiózł Kobierzycki żonę swoją do zakładu dr. Paderny dla umysłowo chorych. Wstrząśnienia nocy poślubnej wypaliły na umyśle nieszczęśliwej niezatarte piętno obłądki.

Choroba przybrała od razu formy groźne, niemal wykluczające powrót do stanu normalnego. Opieka lekarska była nieodzowna. Przychodziły na chorą okresy zupełnej depresji, gdy całymi dniami siedziała nieruchomo z oczyma wlepionymi w szybę okna, to znów ataki szału, podczas których darła na sobie suknie, rzucając na mężczyzn bezwstydne spojrzenia obłąkanej żądz. Czasami przeradzał się obłąd w bezdenny strach przed pożarem, w piekielną groźbę ognia; wtedy nieszczęśliwa, wtulona w kąt pokoju, studiowała wychodzącymi z orbit oczyma jakieś fikcyjne płomienie, krzycząc coś ochrypłym, dzikim głosem.

Lecz były i dni, gdy ogień przeistaczał się dla Stachy w rodzaj cudnej fantasmagorii, w jakiś płomienny fetysz; wtedy pragnęła go wywołać za wszelką cenę, pożądała całym swym tragicznym jestestwem jego żółtoczerwonych języków i palących wstęg. Podczas jednego z takich ataków zakład Paderny omal nie uległ katastrofie, gdy Kobierzycka w przystępie szału podpaliła swą celę. Cudem tylko udało się ocalić obłąkaną i ugasić pożar.

Odtąd czuwano nad nią z podwojoną gorliwością, usuwając starannie z jej pobliża płonące świece i zapalki.

Pożądanie, Seks, Ogień,  
Pożar, Kobieta, Męzczyzna,  
Ofiara, Szaleństwo

Tak upłynął rok pobytu w zakładzie. Kobierzycki odwiedzał żonę początkowo dwa razy na tydzień, we wtorki i piątki między godziną 4 a 5 po południu. Lecz wizyty te były dlań nader przykre; wracał do siebie zawsze silnie rozstrojony. W okresie melancholii i duchowej prostracji przyjmowała Stacha te odwiedziny obojętnie, nie poznając go zupełnie; kiedy indziej znów rzuciła mu się na spotkanie z wyciągniętymi ramionami, okrywając go pocałunkami ust spalonych gorączką. Wtedy mówiła ciągle o ogniu, pożarze, płomieniach i miłości i rozpuszczając miedzianą kaskadę swych włosów, wabiła go ku sobie jak samka gołębia.

Kobierzycki przeżywał wtedy chwile najokropniejszej katuszy: wstyd i ból, rozpacz i upokorzenie szarpały mu duszę na strzępy. Wychodził z tego domu przygarbiony, drżący, postarzały o lat dziesiątek.

— Masz zapalki? Władek, masz zapalki? — brzmiał mu w uszach namiętny szept obłąkanej. — Daj choć jedną, choć jedną, choć jedną, Władus! — skamlał gorączkowy głos Stachy. — Podpalimy najpierw firanki, potem pościel, łóżko, a potem...

Tu wyczuwał na twarzy jej szybki, nierówny oddech.

— A potem, wiesz co?...

Pochylała mu się do ucha z tajemnym szeptem:

— Cha, cha, cha! Cha, cha, cha! Płomienne gody! Nasze czerwone, nasze purpurowe gody!...

Wyrzywał się z jej objęć blady, wstrząsany dreszczem grozy i uciekał do domu tym długim, chłodnym kurytarzem w dwa rzędy cel numerowanych...

Po jednej takiej scenie poradził mu dr Paderna, aby ograniczył swe wizyty do jednorazowych odwiedzin na miesiąc. Lekarz utrzymywał, że obecność jego widocznie działa podniecająco na chorą, a i dla niego samego częste wizyty mogą stać się niebezpieczne. Kobierzycki przyznał mu w części słuszność i odtąd odwiedzał Stachę rzadziej.

Jakoż namiętne wybuchy obłąkanej bywały teraz coraz słabsze, lecz równoległe z tym wystąpiły inne objawy, budząc w nim różne podejrzenia. Oto zauważył po jakimś czasie, że Stacha poznaje go z coraz to większym trudem, że patrzy nań coraz to obojętniej, że jest jej coraz bardziej obcy. Równocześnie nie podobało mu się zachowanie Paderny. Parę razy pochwycił jego spojrzenie, rzucone na chorą pod koniec wizyty, gdy wchodził na chwilę do jej celi, parę razy ujrzał dziwny błysk w oczach obłąkanej na widok lekarza. Powoli nabrał przekonania, że Paderna pragnie go odsunąć od żony możliwie na najdalszą metę i ogranicza liczbę odwiedzin ze względów niekoniecznie leczniczych. Okropne podejrzenie, zakradłszy się raz do duszy, sączyło w nią zabójcze jady, wyżerało coraz głębsze koleiny. Po czasie spostrzegł lekceważący uśmiech asystenta, cyniczne spojrzenia zakładowych famulusów<sup>101</sup>.

Wreszcie spostrzeżenie uczynione w czasie ostatniej wizyty, dwa dni temu, rozwiązało resztę wątpliwości, odsłaniając nagą, ohydłą prawdę.

W ubiegły piątek przyjęła go Stacha z zupełną obojętnością i nawet nie odwróciła się ku niemu twarzą od okna, przy którym zastał ją po wejściu do celi. Przemawiał długo głosem cichym, serdecznym, pieścił ruchem miękim, macierzyńskim pukle jej włosów. Chora zdawała się tego nie dostrzegać; oczy jej, zapatrzone w przestrzeń poza oknem, co jakiś czas zwracały się pytająco ku drzwiom, jakby kogoś oczekując. Gdy w końcu koło piątej wszedł do pokoju Paderna, obłąkana porwała się ku niemu z błyskiem radości w oku.

— Nareszcie jesteś, Władku! — wyszło z ust jej westchnienie ulgi.

Lekarz zmieszał się i popatrzył na Kobierzyckiego.

— Typowe u obłąkanych pomieszanie osobowości.

— Znamienne, chciał pan powiedzieć — poprawił go zimno Kobierzycki. — Teraz już bierze pana za mnie.

I wyszedł bez podania mu ręki...

W ciągu najbliższych dni dojrzało w nim postanowienie. Odwieść go od zamiaru nie mogło już nic w świecie. Uporządkował wszystkie swe sprawy, spisał ostatnią wolę, oddał do druku najświeższą swą pracę naukową. Spokojnie, z uśmiechem wytwornego chłodu czekał końca.

<sup>101</sup>famulus (daw.) — zaufany sługa. [przypis edytorski]

A koniec ten miał przyjść dzisiaj — dzisiaj, w poniedziałek 21 maja między godziną 4 a 5 po południu. Spojrzał powtórnie na zegarek: dochodziły trzy kwadransy na czwartą; czas był najwyższy. Wstał od biurka, ubrał się i za chwilę jechał dorożką w stronę zakładu. Po kilkudziesięciu minutach pojazd zatrzymał się przed bramą lecznicy. Kobierzycki zapłacił dorożkarza i krokiem spokojnym, równym, odmierzonym jak wahania zegara, zaczął wstępować na schody. Nie zatrzymał go nikt w drodze — szedł, jak przeznaczenie, chłodny i nieubłagany...

Oto długi, półmrokiem okryty korytarz z dwiema pierzejami cel... Zatrzymał się pod numerem 15 i sięgnął po coś do kieszeni żakietu...

Z wnętrza doszły go w tej chwili jakieś głosy: niski męski baryton i spazmatyczne łkania kobiety. Pociśnął klamkę i wszedł do środka...

Na sofie w objęciach Paderny leżała jego żona. Na skrzyp drzwi lekarz zerwał się, zasłaniając odruchowo głowę. Na próżno! Huknął strzał celny, jedyny i trafił go w skroń. Upadł bez jęku...

Stacha, w złotolitym płaszczu włosów, podniosła się z sofy i pochyliła się nad ciałem lekarza. Nagle podniosła twarz ku mężowi: w rysach zmąconych szalem zdawał się przez chwilę ważyć jakiś problemat, przedzierać rozpaczliwie ku jaśnion jakaś zagadka... Wtem błysk przytomności zaświtał w jej oczach — powiodła ręką po czole, rozchyliła usta, chciała coś przemówić... Za późno! Huk strzału uprzedził słowo. Z głuchym jękiem stoczyła się na zwłoki Paderny. Wtedy Kobierzycki skierował wylot rewolweru we własne serce.

## Zemsta żywiołaków

### LEGENDA STRAŻACKA

Antoni Czarnocki, naczelnik straży pożarnej miasta Rakszawy, skończył przed chwilą studium statystyki pożarów i zapalwszy ulubione kuba, rozciągnął się znużony na otomanie.

Była trzecia po południu, czas skwarny, lipcowy. Przez zapuszczone żaluzje wcedzało się do wnętrza pokoju ciemnożółte światło dnia, wsiąkał niewidzialnymi falami duszny żar upału. Z oddali dolatywał ospały od spiekoty ruch ulic, bzykały na szybach nikłym, urywanym pobrzękiem rozleniwione muchy. Pan Antoni przemyślał świeżo przejrzone daty, porządkował w głowie zbierane przez lata notatki, wyciągał wnioski.

Nikt by nie przypuszczał nawet, do jak ciekawych rezultatów może doprowadzić umiejętne, z dużym, co prawda, nakładem uwagi i metodycznie przeprowadzone studium statystyki pożarniczej. Nikt by nie uwierzył, ile interesującego materiału można wydobyć z tych suchych, pozornie nic niemówiących dat, ile dziwnych, czasem śmiesznie dziwnych objawów zauważyć w tym chaosie faktów tak niby do siebie podobnych, tak się monotonnie powtarzających!

Lecz by coś takiego podpatrzyć, coś w tym rodzaju, podchwycić — na to potrzeba specjalnego zmysłu, na który nie każdy umie się zdobyć, potrzeba właściwego „węchu”, może nawet organizacji fizycznej. Czarnocki niewątpliwie należał do tych jednostek wyjątkowych i zdawał sobie z tego pełną<sup>102</sup> sprawę.

Od lat już wielu zajmował się tym problemem, studiując pożary w Rakszawie i gdzie indziej, robił nader dokładne notatki na podstawie sprawozdań w gazetach, rozczytywał się w specjalnych dziełach, przeglądał ogromną ilość odnośnych statystyk.

Niemalą pomoc w tych oryginalnych badaniach stanowiły bardzo dokładne, z niezmierną precyzją sporządzone mapy niemal wszystkich miejscowości kraju, a nawet zagranicy, które stosami zalegały wnętrza jego szaf bibliotecznych. Były tam plany stolic, miast i miasteczek z całym labiryntem ulic, uliczek, placów, zaułków, ogrodów, parków, skwerów, gmachów, kościołów i kamienic, plany tak pedantycznie sumienne, że człowiek zwiedzający daną miejscowość po raz pierwszy w życiu, mógł przy pomocy tych drogowskazów obracać się swobodnie i z łatwością, jak u siebie w domu. Wszystko po-

<sup>102</sup>zdawał sobie z tego pełną sprawę — dziś popr.: zdawał sobie z tego w pełni sprawę. [przypis edytorski]

numerowane jak najsumienniej, ułożone według powiatów i okręgów czekało na gest właściciela; wystarczyło mu tylko ręką sięgnąć — a rozkładały się przed nim posłusznie prostokątne i kwadratowe płótna, ceraty lub papiery, wtajemniczając usłużnie w szczególności swe i osobliwości.

Czarnocki nieraz godziny całe trawił nad mapami, studiując rozkład domów i ulic, porównując planimetrię miast. Była to praca nader żmudna i wymagała dużo cierpliwości; nie zawsze bowiem wyniki przychodziły na zawołanie i nieraz należało długo czekać na pozytywny jakiś rezultat. Lecz Czarnocki niełatwo zrażał się. Zauważywszy parę razy jakiś szczegół podejrzany, chwycił go oburącz jak w kleszcze i nie wpierw<sup>103</sup> spoczął, aż odnalazł doń ogniwa wsteczne lub następne.

Owoce tych długoletnich badań były specjalne, przez niego sporządzone „mapy pożarów” oraz tzw. „modyfikacje pożarne”. Na pierwszych uwydatnione były miejsca, budynki i domy, które kiedykolwiek uległy katastrofie, bez względu na to, czy ślady pożaru zatarto i szkody naprawiono, czy też pozostawiono pogorzeliśko własnemu losowi. Natomiast plany określone nazwą „modyfikacji pożarnych” podkreślały zmiany zaszele w rozmieszczeniu domów i budowli pod wpływem ogniowej klęski; wszelkie przesunięcia i najłżejsze odchylenia od stanu rzeczy poprzedzającego pożar były tam zaznaczone ze zdumiewającą pedanterią.

Po zestawieniu map obu typów doszedł pan Antoni z biegiem lat do nader ciekawych wyników. Oto połączywszy liniami pogorzeliśka różnych miejscowości, przekonał się, że w 80 wypadkach na 100 odnośne punkty pożarne utworzyły zarysy dziwacznych postaci; były to przeważnie kształty małych, śmiesznych stworzeń, które czasem przypominały wyglądem swym dzieci-potworki, kiedy indziej zbliżały się raczej do typu zwierzaków: jakieś małpiatki o długich, figlarnie zakręconych ogonkach, jakieś zwinne, w kabłąk wygięte wiewiórki, poczarwane do rozpuku koczodanki.

Czarnocki „wydobył” ze swych planów całą ich galerię i, ubarwiwszy cynobrowoogniastą farbą, zaludnił nimi swój oryginalny, jedyny w swoim rodzaju album z napisem na okładce:

„Album żywiołaków ognia i pożaru”.

Drugą część tego zbioru stanowiły „Fragmenty i projekty” — bezlik groteskowych figur, niedokształconych form, ledwie świtających pomysłów. Były tu zarysy jakichś głów, ułamki korpusów, kikuty rąk i nóg, wycinki jakichś kosmatych, rozczapierzonych łap; miejscami pojawiały się też figury geometryczne, półskręcone, poszarpane płachty lub mackowate, polipie rozrośla.

Album Czarnockiego sprawiał wrażenie dzieła czyjejs kapryśnej fantazji, która, lubując się w żywiole groteskowo-diabolicznym, zapełniła go rzeszą stworów złośliwych, chimerycznych i nieobliczalnych. Zbiór naczelnika straży pożarnej wyglądał na żart, na czerwony żart genialnego artysty, któremu przyśnił się jakiś sen dziwaczny. Lecz chwilami kaprys ten mrozem krew ścinał...

Drugi wniosek, do jakiego doszedł oryginalny badacz, przedstawił się po latach obserwacji w formie spostrzeżenia, że pożary wybuchają najczęściej w czwartki. Statystyka pożarna wykazywała, że w przeważnej<sup>104</sup> ilości wypadków okropny żywioł budził się z uśpienia w ten właśnie dzień tygodnia.

Czarnockiemu nie wydało się to czymś przypadkowym. Przeciwnie, znalazł dla tego zjawiska poniekąd wytłumaczenie. Wypływało ono, zdaniem jego, już z samej istoty charakteru tego dnia, którego symbolem jego nazwa. Wszak czwartek, wiadomo, od wieków był dniem piorunowładnego Jowisza; stąd imię jego w językach narodów. Nie bez kozery nazwała go rasa germańska dniem pioruna: *Donnerstag* i *Thursday*. A pełne lapidarnej melodyjności łatyńskiej: *giovedì, jueves* i *jeudi* — czyż nie wskazują na to samo ujęcie jego istoty?

Dotarłszy do tych dwóch ważnych dla siebie wyników, poszedł dalej drogą wniosków. Wykształcony filozoficznie, z wyraźną skłonnością do uogólnień metafizycznych, rozczytywał się Czarnocki w chwilach wolnych w dziełach mistyków wczesnego chrześcijaństwa i przemysłał sumiennie parę traktatów średniowiecza.

<sup>103</sup>nie wpierw odpoczął — nie odpoczął zanim; nie odpoczął wcześniej niż; nie odpoczął, aż. [przypis edytorski]

<sup>104</sup>przeważny (daw.) — przeważający. [przypis edytorski]

Wieloletnie studium pożarów i zjawisk im pokrewnych doprowadziło go wreszcie do przekonania, że możliwa jest egzystencja istot dotąd bliżej nam nieznanych, które zajmując jakiś pośredni poziom między ludźmi a zwierzętami, objawiają się przy każdym silniejszym wybuchu żywiołów.

Potwierdzenie swej teorii znalazł Czarnocki w wierze ludu wiejskiego i prastarych klechdach o diable, rusałkach, gnomach, salamandrach i sylfach. Dziś już nie ulegało dłań wątpliwości, że żywiołaki istnieją. Czuł ich obecność przy każdym pożarze i tropił z niesłychaną wprawą ich złośliwość. Powoli świat ten ukryty i niewidzialny dla drugich, stał się dlań równie rzeczywisty, jak środowisko ludzkie, do którego należał. Z czasem zaznajomił się dokładnie z psychologią tych dziwnych stworzeń, poznał ich naturę chytrą i przebiegłą, nauczył się paraliżować wrogie dla ludzkości zakusy. Rozpoczęła się walka zacięta, nieubłagana, teraz już w pełni świadoma. O ile dawniej Czarnocki zwalczał ogień jako żywioł ślepy i bezmyślny — powoli, w miarę zapoznawania się z jego właściwą naturą, zaczął inaczej patrzeć na przeciwnika. Zamiast trawiącej, irracjonalnej siły, dostrzegł po latach tkwiącą w nim jakąś złośliwą, żądną rozkładu i niszczenia istotę, z którą należało się liczyć. Wkrótce też spostrzegł, że po tamtej stronie zauważono zmianę jego taktyki. Wtedy walka przybrała charakter bardziej indywidualny.

A nikt może na świecie nie był do niej w tym stopniu powołany, co Antoni Czarnocki, naczelnik straży pożarnej w Rakszawie.

Sama natura, wyposażając go w wyjątkowe własności, przeznaczała niejako z góry na pogromcę żywiołu. Ciało pożarnika obdarzone było zupełną niewrażliwością na ogień; wśród największej pożogi, wśród orgii płomieni mógł przechadzać się bezkarnie bez najłżejszego choćby poparzenia.

Chociaż jego stanowisko, jako naczelnika, nie wymagało osobistej akcji w pożarze, mimo to nie oszczędzał siebie i pierwszy rzucił się w najgorętszy ogień. Postać jego, smukła i wyniosła, z bujną, lwią grzywą, wymykającą się spod pożarnego kasku, widniała jak anioł zbawienia wśród zjeżonych zewsząd tysiącem krwawych jęzorów węzowisk. Zdawało się czasami, że szedł na pewną zgubę — tam, gdzie już żaden strażak zapuścić się nie miał odwagi i — o dziwo! — wracał cały i zdrowy z swym dobrym, zagadkowym trochę uśmiechem na męskim, rozświeconym żagwią pożaru licu; i znów, zacerpnąwszy oddechu w uznojone piersi, wracał w płomienną dziedzinę. Bładły twarze towarzyszy, gdy z bezprzykładną odwagą wspinał się na zalane ognistą powodzią piętra, wdzierał na pół przepalone ganki, miotał wśród żrących do kości skrętów i żudeł.

— Charakternik, charakternik! — szeptali między sobą strażacy, patrząc na dowódcę ze strachem i ciężą zarazem.

Wkrótce zyskał w mieście przydomek „Ogniotrwałego” i stał się bożyszczem pożarników i ludności. Zaczęły osnuwać go legendy i powieści zaprawione cudem, z których wyrastał w jakiejś dwulicowej postaci Archaniola Michała i czarta. Krążyły o nim po mieście tysiączne gawędy, pełne splecionych ze sobą dziwacznie: lęku i uwielbienia. Dziś już uchodził Czarnocki powszechnie za dobrego czarodzieja ze światem tajemnic w zмовie. Zastanawiał każdy ruch „Ogniotrwałego”, każdy gest jego nabierał szczególnego znaczenia.

Zwłaszcza zdumiewała ludzi okoliczność, że azbestowe właściwości naczelnika zdawały się udzielać jego ubraniu, które również w pożarach się nie zajmowało.

Zrazu przypuszczano, że Czarnocki przywdziewa do pracy strój ze specjalnego, ogniotrwałego materiału, lecz wkrótce przekonano się, że przypuszczenie było mylne. Zdarzały się bowiem często wypadki, że niesamowity naczelnik, zaskoczony nocnym alarmem w porze zimowej, naciągał w pośpiechu opończę pierwszego z brzegu strażaka i wychodził w niej z ognia nietknięty, jak zwykle.

Kto inny na jego miejscu wyzyskiwałby swe niezwykle zdolności w celach zarobkowych, jako wędrowny cudotwórca lub szarlatan — panu Antoniemu wystarczyły hołd i uwielbienie ludzi. Co najwyżej czasem w gronie towarzyszy zawodu lub dobrych znajomych pozwalał sobie na bezinteresowne „eksperymenty”, uprawiające w podziw widzów. Oto trzymał przez kwadrans i dłużej w gołej dłoni duże kawały żarzącego się węgla, bez oznak jakiegokolwiek bólu; gdy po czasie odrzucił żar z powrotem w ognisko, ręka jego nie zdradzała śladów poparzenia.

Nie mniejsze zdumienie wywoływał sztuką przenoszenia ogniotrwałości na innych. Wystarczyło mu tylko przez chwilę potrzymać w dłoniach czyjąś rękę, by uczynić przez jakiś czas jej właściciela nieczułym na ogień. Kilku miejscowych lekarzy zajęło się nim nader gorliwie, proponując parę „seansów” za wysokim wynagrodzeniem. Wtedy Czarnocki odrzucił ofertę z oburzeniem i przez dłuższy czas zaprzestał swych poufnych „doświadczeń”.

Opowiadano też o nim i inne, bardziej zdumiewające rzeczy. Paru strażaków, którzy służyli pod nim od szeregu lat, przysięgało na wszystkie świętości, że Ogniotrwały umie w czasie pożaru dwoić się i troić; wśród szalejącego morza płomieni dostrzegali go równocześnie w kilku najsilniej zagrożonych miejscach. Krzysztof Slucz, chorąży straży, zapewniał uroczyście, że pod koniec jednego z pożarów widział, jak w głębi ocalonego wykuszu willi trzy postacie pana Antoniego, podobne do siebie jak bliźnięta, zwały się w jedną, która zeszła spokojnie po drabinie na dół.

Ile w tych gawędach było prawdy, a ile fantastycznej przesady — nie wiadomo. To pewne, że Czarnocki był człowiekiem niezwykłym i jakby stworzonym do walki ze zgubnym żywiołem.

Toteż naczelnik, świadomy swej siły, zmagał się z nim coraz zajadlej, doskonaląc z rukiem każdym środkiem obrony, wzmacniając odporność.

Walka ta stała się w końcu treścią jego życia; nie było dnia, by nie przemyślał nad coraz to skuteczniejszymi sposobami pożarnej profilaktyki<sup>105</sup>. I dziś, w to skwarne popołudnie lipcowe przeglądał ostatnie notatki i porządkował materiał zebrany do zamierzonego dzieła o pożarach i środkach ochronnych. Miała to być praca obszerna, w dwóch grubych tomach, które streszczały wyniki jego długoletnich badań.

I teraz, paląc wonne swe kuba, kształtował w myśli zarysy książki i układał następstwo rozdziałów...

Skończył cygareto, przytłumił niedogarek w popielnicy i uśmiechnięty powstał z otomany.

— No, nieźle! — szepnął zadowolony z rezultatu rozmyślań. — Wszystko w porządku.

I przebrawszy się, poszedł do ulubionej kawiarni na partię szachów...

Upłynęło lat parę. Działalność Antoniego Czarnockiego nabrała szerzy i mocy. Mówiono o nim nie tylko w Rakszawie. Sława Ogniotrwałego zataczała coraz szersze kręgi. Ludzie przyjeżdżali z odległych stron, by go zobaczyć i podziwiać. Książka jego o pożarach była jedną z najpoczytniejszych i to nie tylko wśród pożarników, gdyż w krótkim czasie doczekała się paru wydań.

Lecz zarysowały się i cienie. Naczelnik straży, biorąc niezmordowanie osobisty udział w akcji pożarnej, uległ w tym czasie kilkakrotnie wypadkowi.

Podczas ogromnego pożaru składów drzewnych na Witelówce obsunęła się niespodzianie płonąca belka, raniąc go dość ciężko w prawą łopatkę; w dwóch innych ogniowych „potrzebach<sup>106</sup>” poniósł obrażenia w nogę i ramię wskutek zawalenia się sufitu, ostatnio, w ubiegły adwent, omal nie stracił prawej ręki; ciężki, żelazny tawers, spadając ze stropu, otarł się oń jednym końcem; parę milimetrów bliżej — a byłby zgruchotał mu kość doszczętnie.

Dzielny człowiek zachowywał się wobec tych wypadków z podziwu godnym spokojem.

— Ogniem nic wskórać nie mogą, więc strącają belki — mówił, uśmiechając się lekceważąco.

Lecz strażacy odtąd baczenie pilnowali jego ruchów, nie pozwalając mu zapuszczać się zbyt daleko w ogień, zwłaszcza w miejsca grożące ruiną. Mimo to wypadki zaczęły się powtarzać z dziwną uporczywością i to w sytuacjach, kiedy się najmniej można ich było spodziewać. Obecność naczelnika zdawała się znęcać ducha destrukcji: najniespodziewaniej spadały w jego pobliżu zaledwie napoczęte przez ogień tramy, waliły się nieobjęte jeszcze pożogą powały, sypał się gruz o rozmiarach pocisków armatnich; niekiedy padały nie wiadomo skąd w miejsce, gdzie stał Czarnocki, jakieś wielkie, ciężkie kamienie.

<sup>105</sup>profilaksa — profilaktyka; zapobieganie. [przypis edytorski]

<sup>106</sup>potrzeba (starop.) — bitwa, walka. [przypis edytorski]



Pan Antoni uśmiechał się tylko lekko pod wąsem i dalej palił spokojnie cygara. Lecz pompierzy, patrząc spode łba, usuwali się ostrożnie w inną stronę. Zaczynało być niebezpiecznie w jego sąsiedztwie.

Były i inne objawy, o których nikt nie wiedział, gdyż terenem ich było własne mieszkanie naczelnika.

Zaczęło się od tego, że w całym domu od pewnego czasu dawał się odczuwać silny swąd i woń spalenizny; miało się wrażenie, że gdzieś po kątach zatliły się stare gałgany. Okropny smród wałęsał się niewidzialnymi falami po korytarzach, wnącał ciężkim wysiękiem w pokoje, zawisał kwaśnym fetorem pod stropem. Przeszły nim wreszcie wszystkie sprzęty, przesiąkły ubrania, bielizna i pościel. Nie pomogły nic wentylacje i przewietrzanie; chociaż drzwi i okna stały niemal cały dzień otworem przy 18°-wym mrozie na dworze, obrzydliwy zaduch nie ustępował. Mimo szalonych przeciągów i zimna w całym domu cuchło nieznośnie. Wszelkie poszukiwania, zmierzające do odkrycia przyczyny smrodu, spełzły na niczym; było się po prostu bezradnym.

Gdy w końcu po upływie miesiąca atmosfera mieszkania zaczęła być znośna, przyszła kolej na inny, niebezpieczniejszy jeszcze fenomen: w całym domu rozpanoszył się czad. Przez parę pierwszych dni można było jeszcze zwać winę na opieszałość służby, która może przez zapomnienie zatkała piece przedwcześnie — potem jednak, gdy mimo zachowania wszelkich środków ostrożności czuło się w powietrzu duszną woń bezwodnika węgla, należało szukać przyczyny gdzie indziej. Nie na wiele przydała się zmiana materiału palnego; chociaż Czarnocki kazał odtąd palić w piecach drzewem i zabronił zasuwąć wentyl w ogóle, paru domowników zagorzało silnie w ciągu nocy, a on sam wstał nad ranem z okropnym bólem głowy i nudnościami. Doszło do tego, że musiał nocować u znajomych, nie mogąc we własnym domu.

Po kilku tygodniach czad ustał; pan Antoni odetchnął swobodniej i wrócił do siebie.

O ile zrazu nie zorientował się w naturze zjawisk, które nawiedzały tak natrętnie jego dom — z czasem zaczął przeglądać ich genezę i zrozumiał intencję: chciano go nastraszyć i zmusić do zaniechania walki.

To go tylko podnieciło, budząc ducha przekory i żądzę zwycięstwa.

A właśnie w tym czasie pracował nad nowym systemem sikawek pożarowych, które sprawnością miały przewyższyć wszystkie dotychczas znane. Środkiem gaszącym miała tu być nie woda, lecz pewien specjalny rodzaj gazu, który rozprzestrzeniając się gęstymi kłębami nad płonącym domem, wchłaniał skwapliwie tlen i w ten sposób podcinał ogień u korzenia.

— Będzie to istny bicz boży na pożary — powiedział z niewinną przechawką do jednego ze znajomych inżynierów podczas partii szachowej. — Mam nadzieję, że gdy mój wynalazek uzyska patent, zgubne następstwa ognia zmaleją niemal do zera. — I podkreślił z zadowoleniem wąsa.

Było to gdzieś w połowie stycznia; za jakie dwa, trzy miesiące, na wiosnę, spodziewał się wykończyć dzieło w szczegółach i posłać projekt ministerstwu. Tymczasem pracował pilnie, zwłaszcza wieczorami i nieraz północ jeszcze zastawała go pochylonego nad planami...

Pewnego razu, gdy Marcin, stary sługa domu, wygarniał z pieca niedopalone węgle, Czarnocki rzuciwszy okiem na niedogarki, zauważył coś, co go zastanowiło.

— Poczekaj no mój stary — wstrzymał zabierającego się już do wyjścia sługę. — Wysyp no mi te węgle tu na biurku, na gazetę.

Marcin trochę zdumiony spełnił rozkaz.

— Tak. Dobrze. Teraz zostaw mnie, mój kochany, samego.

Po wyjściu sługi uważnie przeglądnął raz jeszcze żuźle. Od razu, na pierwszy rzut oka uderzył go ich kształt. Niedogarki, dzięki szczególnemu kaprynowi ognia przybrały formę liter; ze zdumieniem studiował precyzję ich zarysów, wykończenie szczegółów: były to idealnie wyrzeźbione z węgla czcionki wielkich liter.

— Oryginalna łamigłówka — myślał, bawiąc się ich układaniem w rozmaite kombinacje. — Może się coś z tego złożyć?

Jakoż po kwadransie otrzymał wyrazy: Żarnik — Pełgot — Czerwieniec — Wodopłoch — Dymstwór.

— Ładna kompania — mruknął, zapisując sobie dziwaczne imiona. — Cała ogniowa hołota; nareszcie znam was po nazwisku. Oryginalne, co prawda, odwiedziny — oryginalniejsze jeszcze bilety wizytowe.

I śmiejąc się, pochował notatki w szafie.

Odtąd codziennie kazał przynosić sobie z pieca niedogarki, by za każdym razem znaleźć dla siebie „pocztę”.

A korespondencja zaczęła rozwijać się nader zajmująco. Po „wstępnej wizycie” nastąpiły „komunikaty z tamtego wymiaru”, fragmenty jakichś listów — ostrzeżenia, wreszcie groźby!

— Idź precz! — Zostaw nas w spokoju! Nie igraj z nami — lub: — Biada ci, biada! — oto słowa, którymi zwyczajnie kończyły się te „ogniowe postylle”.

Na Czarnockim przestrogi sprawiły raczej humorystyczne niż poważne wrażenie. Owszem, zacierał ręce z zadowolenia i przygotowywał cios rozstrzygający. Czuł się silny i pewny zwycięstwa. Wypadki przy pożarach w pobliżu jego osoby ustały, nie powtórzyły się też jakoś niemiłe objawy w domu.

— Za to korespondujemy sobie co dnia jak na dobrych znajomych przystało — szydził, przeglądając każdego rana „pocztę piecową”. — Zdaje się, że te stworzonka potrafią wysilać całą swą złośliwą energię tylko w jednym kierunku. Teraz skupiły wszystkie swe zdolności na „*fire-message*” i dlatego nie zagrażają mi już z innej strony. Wielkie to szczęście: niechaj tylko pisują jak najdłużej; znajdą we mnie zawsze gorliwego odbiorcę.

Lecz z początkiem lutego „korespondencja” nagle urwała się. Jakiś czas przybierały jeszcze niedogarki kształt liter, lecz mimo wysiłków Czarnocki nie zdołał z nich złożyć ani jednego wyrazu; wypadły same bezmyślne zrzeczenia spółgłosek lub długie kilkunastozonowe szeregi samogłosek. „Poczta” psuła się wyraźnie, aż w końcu żuźle straciły w ogóle wygląd czcionek.

— *Fire-message* skończony — wywnioskował pan Antoni, zamykając czerwonym floresem<sup>107</sup> „diariusz”<sup>108</sup> komunikatów ogniowych”.

Przez parę tygodni był spokój. Czarnocki wykończył tymczasem plan i konstrukcję gazowej sikawki i rozpoczął starania o uzyskanie na nią patentu. Lecz praca nad wynalazkiem znać wyczerpała go, bo w marcu uczył znaczny ubytek sił; wystąpiły też sporadyczne objawy katalepsji, której ulegał już dawniej w okresach zaburzeń na tle nerwowym. Ataki przychodziły niedostrzegalne dla otoczenia, zwyczajnie w nocy podczas snu; budząc się nad ranem, czuł się nadzwyczaj znużony jakby po odbyciu dalekiej drogi. Lecz sam nie zdawał sobie dokładnie sprawy ze swego anormalnego stanu, gdyż przejście z jednego w drugi odbywało się lekko, bez najlżejszych wstrząśnięć: tylko sen się pogłębiał, względnie z naturalnego przechodził w kataleptyczny. Równoległe ze znużeniem po przebudzeniu szły nader żywe i barwne wspomnienia z wędrówek odbytych rzekomo w czasie snu; Czarnocki przez noc całą wspinał się po górach, zwiedzał obce miasta, włóczył się po jakichś egzotycznych krainach. Wyczerpanie nerwowe, które odczuwał w tym czasie nad ranem, zdawało się pozostawać w wyraźnym związku ze sennymi podróżami w nocy. I — rzecz dziwna — tak je sobie nawet tłumaczył. Bo dla niego owe nocne włóczęgi były czymś zupełnie realnym.

Lecz się nikomu z tym nie zwierzał; ludzie i tak za wiele o nim wiedzieli. Poco wtał jemniczać zbyttnio przechodniów w dziedzinę życia własnej duszy?

Lecz gdyby był zwrócił baczniejszą uwagę na otoczenie i podał ucha temu, co wtedy o nim szeptano, może by się trochę o siebie zaniepokoił.

Zwłaszcza Marcin spoglądał w tym czasie na pana jakoś dziwnie podejrzliwie i z pewną nieufnością.

Bo też miał do tego niejedną przyczynę. Gdzieś w pierwszej połowie marca, przechodząc późno w noc ze świecą w ręce z kuchni do swej izdebki obok sypialni naczelnika, spostrzegł nagle w głębi korytarza szybko oddalającą się postać swego pana. Trochę zdziwiony, pośpieszył za nim, niepewny, czy mu się nie przywidziało. Lecz zanim doszedł do końca sieni, pan zniknął mu z oczu.

<sup>107</sup>*flores* — ozdobnik w kształcie roślinnym (w charakterze pisma, ornamentach itp.). [przypis edytorski]

<sup>108</sup>*diariusz* — dziennik. [przypis edytorski]

Zaniepokojony przygodą, na palcach zakradł się do sypialni, gdzie zastał naczelnika w głębokim uspieniu.

W parę dni potem również nocną porą powtórzyło się to samo na klatce schodowej, na której stopniach zauważył Marcin pana swego, jak przechylony przez poręcz, patrzył uważnie w dół. Zdjęty mrowiem<sup>109</sup> sługa podbiegł ku niemu z okrzykiem:

— Co pan robi? Ma miłość boską, toż to grzech!

Lecz zanim dobiegł do miejsca, gdzie stał Czarnocki, postać skurczyła się, zwinęła jakos dziwacznie i bez słowa odpowiedzi wsiąkla w ścianę. Marcin przeżegnawszy się, szybko zeszedł do sypialni, by przekonać się, że i tym razem pan śpi snem kamiennym.

— Tfy! — mruknął starowina. — Czary czy diasek? Przecieżem nie pijany<sup>110</sup>.

I już miał zawrócić do siebie, gdy wtem spostrzegł w głębi pokoju nowe zjawisko: o parę stóp nad głową śpiącego unosił się w powietrzu krwawo pełgający płomień. Miał kształt gorejącego krzaka, z którego co chwila wysuwały się w stronę pana Antoniego długie, ogniste macki, jakby próbując go osiągnąć.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! — krzyknął Marcin, rzucając się z gołymi rękoma na płonący zwid.

W jednej chwili ognisty krzew cofnął skwapliwie wyciągnięte w stronę śpiącego odnóża, skręcił się w zwarty, jednolity słup ognia i z cichym sykiem konającego żywiołu zgasł w kilku sekundach.

W pokoju zapanowała ciemność, słabo rozświetlana płomykiem świecy, opuszczonej przez służę na podłogę. Czarnocki spał wyciągnięty sztywnie na łóżku...

Nazajutrz Marcin ostrożnie napomykał mu coś o złym wyglądzie i doradzał zawezwać lekarza; lecz pan Antoni zbył go żartem, ani nie przeczuwając, co się święci.

W dwa tygodnie potem przyszło do katastrofy...

Było to w pamiętną dla miasta noc z 28 na 29 marca. Czarnocki wrócił dnia tego późno wieczorem śmiertelnie znużony akcją ratunkową przy wielkim pożarze w magazynach kolejowych. Pracował w ogniu jak bohater i z kilkakrotnym narażeniem życia ocalił z płomieni kilku funkcjonariuszy, którzy zamknawszy się gdzieś w głębi składów, spali snem sprawiedliwych. Powróciwszy koło 10:00 do domu, naczelnik jak nieżywy rzucił się w ubraniu na poprzek łóżka i zaraz zapadł w głęboki sen.

Marcin niespokojny o niego od paru już dni czuwał wiernie przy lampce w sąsiedniej bokówce, zaglądając od czasu do czasu do sypialni. Koło 12:00 w nocy zmorzył go sen; siwa głowa starca pochyliła się ciężko na ramię i bezwładnie spoczęła na stole.

Wtem zbudziło go trzykrotne pukanie. Ocknął się i przecierając oczy, zaczął nastuchiwać. Lecz odgłos nie powtórzył się więcej. Wtedy z lampą w ręce wpadł do przyległego pokoju.

Lecz było już za późno. W chwili gdy otwierał drzwi sypialni, ujrzał pana jakby w otoku płomieni, które tysiącem ognistych ssawek zdawały się wnikać w jego ciało.

Zanim zdołał podbiec do łóżka, płomienna zjawa wsiąkla już zupełnie w śpiącego i zgasła.

Trzęsąc się cały jak liść osiki, patrzył Marcin w osłupieniu na leżącego.

Nagle rysy Czarnockiego uległy dziwnej zmianie: po twarzy dotąd nieruchomej przebiegł skurcz jakiś czy spazm nerwowy i wykrzywiwszy mu do niepoznania rysy, zastępnym grymasem na ustach. Naczelnik pchnięty tajemniczą siłą, która podstępnie opanowała mu ciało, nagle zerwał się z posłania i z dzikim okrzykiem wypadł z domu.

Była czwarta rano. Nad miastem przeciągały ostatnie korowody sennych widziadeł, gotując się niechętnie do odwrotu, zwijały smutno fantastyczne skrzydła demony zmor, a pochylone w zadumie nad łóżeczkami dzieci anioły marzeń składały na ich czołach pocałunki rozstania...

Na wschodniej rubieży nieba zaczęły majaczyć fioletowe brzaski. Sino-szare jutrznie wstrząsane dreszczem zarania szły w miasto falami ocknień, ocuceń, przebudzeń... Roje śródmiejskich kawek, wydrożone<sup>111</sup> z sennej drętwy, okrążyły kilkakrotnie czarnym

Noc, Świt, Sen, Duch

<sup>109</sup>zdjęty mrowiem — przyjęty tak, że aż przeszedł go dreszcz (mrowienie). [przypis edytorski]

<sup>110</sup>przecieżem nie pijany (daw.) — skrót od: przecież jestem nie pijany; przecież jestem pijany. [przypis edytorski]

<sup>111</sup>wydrożony — wykołojony, wybity. [przypis edytorski]

pierścieniem wież ratuszową i gaworząc radośnie, rozsiadły się po nagich, przedwiosen-nych drzewach. Parę psów bezpieczeństwa, skończywszy ponocną wędrówkę po zaułkach, teraz węsząc żerowało na rynku...

Nagle w kilku punktach miasta wytrysły siklawy ognia; czerwone, pełgocące kędzierze wykwitły purpurowymi kwiatami ponad dachy i poszły w niebo. Zająkły dzwony kościołów, szarpnęły ciszę zarania krzyki, zgiełk, głosy trwogi:

— Gore! Gore!

Siedem krwawych żagwi przekreślało poranny widnokrąg — siedem płomiennych proporców rozwinęło bandery ognia nad miastem. Palił się klasztor o.o. reformatów, gmach sądu, starostwo, kościół św. Floriana, koszary straży pożarnej i dwa domy prywatne.

— Gore! Gore!

Przez rynek przewalały się rzesze ludzi, pędziły wozy, rzęgotwały pożarne pojazdy. Jakiś człowiek w stroju strażackim, z rozwianym włosom i płonąca pochodnią w ręce przeciskał się gorączkowo przez tłum.

— Kto to?! Kto to?!...

— Zatrzymać go! Zatrzymać!

Dziesięciu pożarników idzie za nim w tropy:

— Trzymać go! Trzymać! To podpalacz!

Tysiące rąk wyciąga się chciwie za zbiegiem.

— Podpalacz! Zbrodniarz! — ryczy szalona od gniewu tłuszcza.

Ktoś wytrącił mu z rąk pochodnię, ktoś inny chwycił w pól. Szarpnął się i z pianą na ustach zaczął borykać się z przemocą... Wreszcie zmagli go. Skrępowanego sznurami, w podartym na strzępy ubraniu prowadzą przez rynek. Przy bladym świetle brzasku zaglądają mu w twarz:

— Kto to?!

Ręce strażaków mimo woli cofają się.

— Kto to?

Dreszcz grozy ścina słowa, dławi ochryple od krzyku gardła.

— Czyja to twarz?!

Z ramion szaleńca zwisają zdarte podczas walki epolety naczelnika straży pożarnej, na poszarpanej bluzie lśnią medale zdobyte w „ogniowej potrzebie”, błyszczą złoty krzyż zasługi. I ta twarz, ta twarz wykrzywiona zwierzęcym grymasem, z parą krwawych, zezujących oczu!...

Przez cały miesiąc po wielkim pożarze, który spalił doszczętnie siedem najpiękniejszych budowli miasta, noc w noc widywał Marcin, stary sługa domu Czarnockich, widmo pana zakradające się do sypialni. Cień opętańca stawał nad pustym łóżkiem i szukał ciała, jakby pragnąc wejść w nie z powrotem. Lecz szukał na próżno...

Dopiero gdy z końcem kwietnia naczelnik straży rzucił się w przystępie szału z okna zakładu dr. Żegoty i zginął na miejscu, cień jego przestał nawiedzać dawne mieszkanie...

Lecz do dziś dnia jeszcze krążą wśród ludzi legendy o duszy Ogniotrwalego, co porzuciwszy we śnie swe ciało, wrócić już doń nie mogła, bo weszły w nie żywiołaki.

26 listopada 1919 r.

## Biały Wyrok

GAWĘDA KOMINIARSKA

*Józefowi Jedliczowi<sup>112</sup>  
poświęcam*

<sup>112</sup>Jedlicz, Józef — Józef Jedlicz, właśc. Józef Kapuściński (ur. 20 marca 1878 we Wróblówce k. Czarnego Dunajca, zm. 20 lutego 1955 w Warszawie) polski poeta, pisarz i tłumacz (m.in. opowiadań E.T.A. Hoffmana), pochodził z rodziny chłopskiej z Podhala. [przypis edytorski]

Byłem wtedy jeszcze młodym czeladnikiem, jak wy, kochane chłopaki, i robota paliła mi się w rękach. Majster Kalina — świeć Panie nad jego zasnę duszą — nieraz mawiał, że pierwszy po nim obejmę mistrzostwo, i przed innymi nazywał mnie chlubą cechu. Jakoż nogi miałem silne i zapierałem się łokciami w kominie jak mało kto.

W trzecim roku służby dostałem do pomocy dwóch kominarczyków i zostałem instruktorem młodszych kolegów. A było nas razem z majstrem siedmiu; prócz mnie trzymał Kalina dwóch innych czeladników i trzech chłopców do podręcznej posługi.

Dobrze nam było z sobą. Bywało, w święta i niedziele zeszła się brać u majstra na pogawędkę przy piwie lub zimą przy ciepłej herbacie pod kominem, naśpiewała, naplotła nowin do syta, że wieczór zlatywał niby ta kula spuszczone ze szczotką w gardziel spadów piecowych.

Kalina — człek był piśmienny, rozumny, dużo świata zwiedził, nie z jednego, jak to mówią, komina wygartywał. Filozof był trochę, książki lubiał<sup>113</sup> okrutnie, nawet gazetkę podobno kominiańską chciał wydawać. Lecz w rzeczach wiary nie mędrkował — owszem, szczególnie miał nabożeństwo do św. Floriana, naszego patrona.

Po majstrze najczęściej przylgnałem do młodszego czeladnika, Józka Biedronia, chłopaka szczerego jak złoto, którego polubiłem za serce dobre i proste jak u dziecka. Niedługo miałem się cieszyć jego przyjaźnią!

Drugi z kolei towarzysz, Osmółka, trochę melancholik, trzymał się zwykle na uboczu i unikał zabawy; lecz pracownik był z niego zawołany, w robocie sumienny i dziwnie zaciekły. Kalina cenil go sobie wielce i ciągnął do ludzi, lubo<sup>114</sup> bez widocznego skutku.

Za to chętnie przesiadywał Osmółka na wieczorach u majstra i z ciemnego kąta z zajęciem przysłuchiwał się opowieściom majstra, którym dawał wiarę zupełną.

A nikt tak nie umiał opowiadać jak nasz „stary”. Jak z worka sypał gawędami, jedną ciekawszą od drugiej, kończył tę, zaczynał nową, wplatał trzecią i dalsze bez końca. A w każdej dopatrzyć się można było jakiejś myśli głęboko pod spodem przytanej, z wierzchu dla niepoznaki gęstwą słów przykrytej. Lecz człek był wtedy jeszcze młody i głupi i brał z opowieści owych tylko to, co bawiło dla oka błyskotką. Jeden może Osmółka patrzył bystrzej i wnikał w sedno „bajek” majstrowych. Bo „bajdami” nazywaliśmy między sobą po cichu opowiadania Kaliny. Zajmujące były, czasem straszne, aż mrowie przechodziło i włosy dębem stawały na głowie, lecz mimo wszystko baśnie tylko i bajdy. Alic<sup>115</sup> życie pouczyło nas wkrótce o nich trochę inaczej...

Pewnego razu, gdzieś w środku lata, zabrakło nam podczas wieczornej pogawędy jednego towarzysza: Osmółka nie zjawił się w swym ciemnym kącie za kredensem.

— Pewnie gdzieś się zawieruszył między dziewczętami — żartował Biedroń, choć wiedział, że kolega do niewiast niespory i mało przedsiębiorczy.

— Et, pleciesz — odpowiedział mu Kalina. — Powiedz raczej, że go melancholia dławi i w domu jak niedźwiedz w ostępie siedzi i łapę ssie.

Wieczór przeszedł smutno jakoś i ospale, bo bez najgorliwszego ze słuchaczy.

Nazajutrz rano zaniepokoiłiśmy się nie na żarty, gdy Osmółka nie zgłosił się do służby koło godziny dziesiątej. W przekonaniu, że czeladnik zachorował, poszedł majster odwiedzić go. Lecz w domu zastał tylko jego matkę, staruszkę strośkaną bardzo nieobecnością syna; Osmółka, jak wyszedł na miasto dnia poprzedniego nad ranem — tak dotąd do domu nie wrócił.

Kalina postanowił przedsięwziąć poszukiwania na własną rękę.

— Osmółka — ponura pałka — Bóg raczy wiedzieć, co nabroił. Może teraz gdzie się ukrywa?

Lecz szukał nadaremno do południa. Wreszcie przypomniawszy sobie, że czeladnik miał dnia poprzedniego oczyścić komin w starym browarze za miastem, zwrócił się tam po objaśnienia.

Jakoż odpowiedziano mu, że istotnie wczoraj rano był jakiś czeladnik w browarze i czyścił komin, lecz po zapłatę nie zgłosił się.

— O której godzinie skończył robotę? — zapytał Kalina jakiegoś siwego jak gołąb starca, którego spotkał na progu jednej z browarowych przybudówek.

<sup>113</sup>lubiał — dziś popr.: lubił. [przypis edytorski]

<sup>114</sup>lubo (daw.) — chociaż. [przypis edytorski]

<sup>115</sup>alic (daw.) — jednakże. [przypis edytorski]

— Nie wiem, panie majstrze. Odszedł tak niepostrzeżenie, żeśmy nawet nie wiedzieli, kiedy wracał, musiało mu się znać bardzo śpieszyć, bo nawet nie zaglądnął do nas po wynagrodzenie. Jak to mówią, szczel jak kamfora.

— Hm... — mruknął w zamyśleniu Kalina. — Dziwak jak zwykle. A czy aby dobrze wyczyścił? Jak tam teraz z kominem? Czy dobrze ciągnie?

— Podobno nie bardzo. Synowa skarżyła się znowu dziś rano, że okropnie dymi. Jeśli do jutra nie zmieni się na lepsze, poprosimy o wyczyszczenie powtórne.

— Zrobi się — odciął krótko majster, zły, że tu niezadowoleni z jego czeladnika, i zmartwiony okrutnie brakiem dokładniejszych o nim wiadomości.

Tegoż wieczora zasiedliśmy smutni do wspólnej wieczerzy i rozeszliśmy się wcześniej do domów. Nazajutrz to samo: o Osmółce ani słyhu, ani dychu — przepadł jak kamień w wodzie.

Po południu przysłali jakiegoś chłopca z browaru z prośbą, by komin wyczyścić, bo „glancuje” jak diabeł.

Poszedł Biedroń koło czwartej i więcej nie wrócił. Nie było mnie przy tym, jak go Kalina wysyłał, i o niczym nie wiedziałem. Toteż zląkłem się, ujrawszy pod wieczór poważne miny kominiarczyków i majstra podobnego chmurze gradowej. Tknęło mnie złe przeczucie.

— Gdzie Józek? — zapytałem, na próżno szukając go po izbie.

— Nie wrócił z browaru — odpowiedział ponuro majster.

Zerwałem się z miejsca. Lecz Kalina siłą wstrzymał mnie przy sobie:

— Samego nie puszczę. Dość mi już tego. Jutro rano pójdziemy obaj. Jakies licha, nie browar! Wyczyszczę ja im komin!

Tej nocy nie zmrużyłem oka na chwilę. Równy ze świtem wdziałem<sup>116</sup> skórzany kabat, spałem się wpół mocno pasem na sprzączkę, wdziałem na głowę kominiarkę z przystulkami i przerzuciwszy przez ramię szczotki z kulami, zapukałem do izby majstra.

Kalina był już gotów.

— Weź ten obuszek — rzekł mi na powitanie, podając ręczną, świeżo znać obciążoną na brusie<sup>117</sup> siekierę. — Może ci się przydać prędzej niż miotła lub drapaczki.

Wziąłem narzędzie w milczeniu i poszliśmy szybkim krokiem w stronę browaru.

Poranek był piękny, sierpniowy i cisza ogromna w powietrzu. Miasto jeszcze spało. Milcząc przeszliśmy rynek, most na rzece i skręciliśmy w lewo przez bulwary na gościniec, wijący się w dal pomiędzy topolami.

Do browaru był kawałek drogi. Po kwadransie wytężonego chodu zeszliśmy z traktu w bok pod przedmiejskie przyłaski, rzucając się na przelaj przez sianożęcia. W oddali ponad olszynką zarysowały się miedzianymi płatami dachy budynków browarowych.

Kalina ściągnął kapę z głowy, przeżegnał się i zaczął bezgłośnie poruszać wargami. Szedłem obok w milczeniu, nie przerywając modlitwy. Po chwili majster nakrył z powrotem głowę, ścisnął mocniej siekierę i zagadał cicho:

— Licho, nie browar. Piwa tam i tak już od lat jakich dziesięciu nie warzą. Stara rudera i tyle. Ostatni piwowar, niejaki Rozbań, podobno zbankrutował i powiesił się z rozpacy. Rodzina, sprzedawszy za bezcen miastu budynki i cały inwentarz, gdzieś wyniosła się w inne strony. Następca dotąd żaden nie zgłosił się. Kotły i maszyny mają być liche i starego systemu, a na nowe nie każdego stać; nikt nie chce ryzykować.

— Więc kto właściwie kazał oczyścić komin? — zapytałem, rad z tego, że zawiązana rozmowa przerwała przykre milczenie.

— Jakiś podmiejski ogrodnik, który przed miesiącem za półdarmo sprowadził się do pustego browaru z żoną i starym ojcem. Ubikacyj mają sporo i miejsca dość, choćby dla kilku rodzin. Sprowadzili się pewnie do izb środkowych, zachowanych w najlepszym stanie, i żyją sobie za tanie pieniądze. Teraz im kominy glancują, bo stare już i tego sadzą zapchane. Nieczyszczone od dawna... Nie lubię tych starych kominów — dodał po malej przerwie w zamyśleniu.

— Dlaczego? Czy może dlatego, że więcej z nimi roboty?

<sup>116</sup>wdziać — założyć ubranie na siebie. [przypis edytorski]

<sup>117</sup>brus — toczydło, kamień szlifierski do ostrzenia narzędzi; por. starop. czasownik: *bruszyć*. [przypis edytorski]

— Głupiś, mój kochany. Boję się ich, rozumiesz, boję się tych starych, od lat nie-tykanych szczotką, nieskrobanych żelazem wlotów. Lepiej zwalić taki komin i nowy postawić, niż dawać go czyścić ludziom.

Popatrzyłem na twarz Kaliny w tej chwili. Była dziwnie zmieniona lękiem i jakąś wewnętrzną odrazą.

— Co to wam, panie majstrze?!

A on, jakby nie słysząc, mówił dalej, zapatrzony gdzieś w przestrzeń przed siebie:

— Niebezpieczne są wielkie zwały sadz nagromadzonych w wąskich, ciemnych sztychach, do których słońce nie ma przystępu. I nie tylko dlatego, że się łatwo zapalają. Nie tylko dlatego. My, kominiarze, uważasz, przez całe życie walczyliśmy z sadzami, przeszkadzamy ich nadmiernemu skupianiu się, zapobiegając wybuchowi ognia. Lecz sadze są zdradliwe, mój kochany, sadze drzeją w poćmie kominowych gardzieli, w dusznocie piecowych spadów i czyhają... na sposobność. Coś mściwego w nich tkwi, coś złego się czai. Nigdy nie wiesz, kiedy i co się z nich wylęże.

Umilkł i spojrział na mnie. Chociaż nie rozumiałem tego, co mówił, słowa jego wypowiedziane z mocą przekonania podziałały na mnie. Uśmiechnął się swym dobrym, pocziwym uśmiechem i dodał uspokajająco:

— Może to, co miałem na myśli, nie stało się; może tutaj zaszło zupełnie co innego. Głowa do góry! Zaraz dowiemy się wszystkiego. Jesteśmy na miejscu.

Jakoż dotarliśmy do celu. Przez szeroko rozwartą bramę wjazdową wszedłem za majstrem na obszerny dziedziniec, z którego prowadziło mnóstwo drzwi do zabudowań browarnianych. Na progu jednego siedziała ogrodniczka z dzieckiem przy piersi, w głębi oparty o skrzydło drzwi stał jej mąż. Zoczywszy<sup>118</sup> nas, mężczyzna zmieszał się i z widocznym zakłopotaniem wyszedł na spotkanie:

— Panowie zapewne do nas wedle tego komina?

— Juści — odpowiedział chłodno majster — że do was, tylko nie wedle komina, lecz wedle dwóch ludzi, których tu posłałem do jego oczyszczenia.

Zakłopotanie ogrodnika widocznie wzrosło; nie wiedział, gdzie oczy podziać.

— Czeladnicy moi dotąd nie wrócili z browaru! — krzyknął z pasją Kalina, wpatrując się weń groźnie. — Co się tu z nimi stało? Wy mi za nich odpowiadacie!

— Ależ, panie majstrze — wybelkotał ogrodnik — doprawdy nie wiemy, co się właściwie z nimi stało. Myśleliśmy, że pierwszy do tej pory już się odnalazł, a o drugim też nie potrafię panom dać żadnych wyjaśnień. Wczoraj po południu w mojej obecności wszedł do komina przez drzwi w ścianie kuchennej; przez jakiś czas słyszałem wyraźnie, jak zeszkrobywał sadze, i byłbym przeczekał do końca operacji, gdyby nie wezwano mnie w tej chwili do dworu. Wyszedłem z domu na parę godzin, a po powrocie już się o kominie i pańskim czeladniku nic nie mówiło. Sądząc, że oczyściwszy komin, wrócił do miasta, zamknęliśmy drzwi wentylowe na noc. Dopiero teraz na widok panów wchodzących na nasze podwórze zrobiło mi się nieswojo; nagle przyszło mi na myśl, czy aby, broń Boże, nie chciało powtórzyć się to samo, co przed dwoma dniami. Na moje nieszczęście domyśliłem się trafnie. Lecz co to może być, panie Kalina? Co robić? Co poradzić?... Ja tu nic niewinien — dodał, bezradnie rozkładając ręce.

— Nie trzeba było przynajmniej zamykać drzwi od komina, ciemięgo! — huknął wściekle Kalina. — Za mną, Piotruś! — krzyknął, pociągając mnie za ramię. — Nie mamy ani chwili do stracenia. Prowadźcie nas do otworu kominowego!

Prerażony gospodarz przepuścił nas do wnętrza mieszkania. Wkrótce znaleźliśmy się w kuchni.

— Tutaj w rogu — wskazał ogrodnik na rysujący się prostokąt drzwi od komina.

Kalina posunął się w tę stronę, lecz ja, uprzedzając go, szarpnąłem niecierpliwie wystający guzik i otworzyłem.

Powiało na nas dymnym śwędem i posypało się na podłogę trochę sadzy.

Zanim majster zdołał mi przeszkodzić, już klęczałem w wylocie i wyciągając ramię w górę, zabierałem się do wspinania.

— Puść mnie, wariacie! — odezwał się poza mną gniewny głos Kaliny. — To moja rzecz: ty przystaw tymczasem drabinę do dachu i wleź na górę pilnować wlotu.

<sup>118</sup>zoczywszy (daw.) — zobaczywszy. [przypis edytorski]

Po raz pierwszy wtedy nie usłuchałem go. Jakaś wściekła zaciętość i chęć wyświetlenia prawdy opanowały mnie zupełnie.

— To niech majster sam zajmie tamtą pozycję! — krzyknąłem mu w odpowiedź. — Obiecuję tymczasem poczekać tu na dole na sygnał.

Kalina zaklął brzydki i rad nierad poddał się pod moją komendę. Niebawem usłyszałem jego oddalające się kroki. Wtedy zawiązałem sobie silniej pod brodę chustę ustową z kawałkiem jedwabiu, poprawiłem gurt<sup>119</sup> w pasie i mocniej ująłem obuszek. Nie minęły i dwa pacierze, gdy tuż za załomem szyi kominowej, wstępującej już wprost do góry, odezwało się stuknięcie spuszczonej na sznurze kuli: Kalina był już na dachu i dawał mi umówiony sygnał.

Na czworakach przyczołgałem się natychmiast do zakrętu i po omacku odnalazłszy kulę pociągnąłem ją trzykrotnie na znak, że sygnał odebrany i rozpoczynam jazdę do góry.

Jakoż po przebyciu załomu wyprostowałem się, zasłaniając instynktowo głowę podniesioną siekierą.

Komin był szeroki; przelazowy i grubo sadzą oblepiony. Tu w dole, przy samej nasadzie, utworzyły się całe warstwy łatwo zapalnego „szkliwa” i świeciły zimnym metalicznym połyskiem w mdłej poświacie, która szła ze szczytu.

Zapuściłem spojrzenie w górę, tam gdzie prostopadłe ściany zbiegały się w bielejący światłem dnia wykrój wlotu, i... zadrzałem.

Nade mną, może parę stóp powyżej ostrza mojej siekiery, ujrzałem w półświecie dymnika jakąś białą, śnieżnobiałą istotę wpatrzoną we mnie parą ogromnych, żółtych, sowych trzeszczy.

Stwór podobny na pół do małpy, na pół do olbrzymiej żaby, przytrzymał w szponach przednich, spiętych błoną odnóży coś ciemnego, coś niby rękę ludzką odstającą bezwładnie od korpusu, który rysował się niewyraźną jakąś, skręconą linią tuż obok na ścianie sąsiedniej.

Złany zimnym potem wsparłem się nogami o zbocza komina i lekko uniosłem w górę. Wtedy z szerokiej, rozciętej od ucha do ucha gęby dziwadła wyszedł szczególny, drapieźny dźwięk; straszdyło zgrzytało zębami jak małpa. Mój ruch musiał je spłoszyć; i ono widocznie zmieniło pozycję, gdyż w tej chwili szerszy pas światła wdarł się w głąb ciemnicy i oświetlił mi wyraźniej okropny obraz.

Przyczepiony cudem jakimś, jakby przylepiony do ściany przylgami palców, dziwotwór trzymał mocno w swych objęciach Biedronia; pokryte białym, puszystym futerkiem odnóża tylne zamknęły się w krzyżowym uścisku dookoła nóg ofiary, podczas gdy wydłużony jak u mrówkojada ryjek przywarł chciwym smoczkiem do skroni nieszczęśliwego.

Wściekłość zalała mi krwią oczy i, przemógłszy strach, wspiąłem się znów o parę stóp wyżej. Białe stwor, znać zaniepokojony, począł strzyc łyżkowatymi uszama i zgrzytać coraz głośniejszy; lecz się z miejsca nie ruszył.

Widziałem jego daremne w tym celu wysiłki, widziałem, jak usiłował to jakby zeskończyć na mnie, to znów jakby umknąć w górę komina. Lecz rzuty te były jakieś niezgrabne, jakieś ogromnie ociężałe; zdawało się, że zdrętwiał jak wąż dusiciel po połknięciu ofiary lub stumaniał jak pijawka od nadmiaru wysanej krwi; tylko ślepia wylupiaste, okrągłe jak talerze wpijał we mnie coraz uporczywiej i groził...

Lecz szal gniewu wziął u mnie już górę nad strachem. Odwinąłem nagle ramię z siekierą i z całej siły spuściłem ją na ohydny biały czerep.

Cios był silny i celny. W jednej chwili zgasła gdzieś para ogromnych trzeszczy, coś otarło się o mnie w pędzie spadania i usłyszałem pod sobą głuchy stęk; dziwna istota runęła na spód komina, pociągając za sobą swoją ofiarę.

Dreszcz obrzydzenia przejął mnie do szpiku; nie miałem już odwagi zejść na dół i przekonać się o skutkach ciosu.

Pozostawała droga w górę przez dach. Zresztą byłem już w połowie wysokości komina, z którego wlotu dochodziło mnie wołanie Kaliny.

Zacząłem więc szybko wdzierać się na szczyt, zapierając się łokciami i nogami ze wszystkich sił. Lecz któż opisze mój przestach, gdy parę stóp wyżej spostrzegłem zawieszony na wystającym ze ściany haku zwłoki Osmółki?

<sup>119</sup>gurt (z niem.) — pas. [przypis edytorski]



Ciało biedaka było straszliwie, nieprawdopodobnie chude i wyschłe na szczapę — sama skóra prawie i kości — na pół uwędzone w dymie, wyciągnięte jak struna, suche i twarde jak kawał drewna.

Trzęsącymi się rękoma odpiąłem zwłoki z haka i okręciwszy parę razy wpół sznurem od kuli, dałem znak Kalinie — szarpnięciem dwukrotnym.

W parę minut potem znalazłem się na dachu, gdzie mnie oczekiwał majster z wyciągniętym już ciałem Osmółki. Przyjął mnie ponury, z namarszczoną brwią.

— Gdzie drugi? — zapytał krótko.

W kilku słowach opowiedziałem wszystko.

Gdyśmy ostrożnie znieśli na dół po drabinie ciało Osmółki, rzekł spokojnie:

— Biały Wyrak. To on: przeczuałem, że to on.

W milczeniu przeszliśmy się, dwie izby i wróciliśmy do kuchni. Nie było tu ani żywego ducha; rodzina ogrodnika wyniosła się cichaczem gdzieś na skrzydło budynku.

Złożywszy zwłoki pod ścianą, podszliśmy do otworu kominu. Wystawała z niego para bosych, zeszywniałych nóg.

Wyciągnęliśmy<sup>120</sup> nieszczęśliwego towarzysza i złożyli na podłodze obok Osmółki.

— Widzisz te dwie małe ranki na skroniach u obu? — zapytał Kalina stłumionym głosem. — To jego znak. Stąd nadpoczyna swe ofiary. — Biały Wyrak! Biały Wyrak! — powtórzył parę razy.

— Muszę go dokończyć — odpowiedziałem z zaciętością. — Może jeszcze nie zdechl.

— Wątpię. Ma za swoje; nie znosi światła. Zresztą popatrzmy.

I zajrzeliśmy w czelusć otworu.

W głębi majaczyło niewyraźnie coś białego. Kalina rozglądając się po kuchni i zoczywszy<sup>121</sup> długi drąg z żelaznym krukem u końca, wsunął go w otwór kominowy. Po chwili zaczął wyciągać...

Widziałem, jak jakiś biały kłęb z wolna wyłaniał się z czelusci wlotu, jakieś śnieżne, puszyste runo zbliżało się ku krawędzi wentyla.

Lecz po drodze zewłok Wyraka jakby topniał, kurczył się i gasł. Gdy wreszcie Kalina wyciągnął cały drąg, zwiślał z jego żeleźca tylko nieduży, mlecznobiały kłęb jakiejś dziwnej substancji; była płatkowata i roztrzępana, niby miękkie, ustępliwy kożuszek, niby puch, niby miał — zupełnie jak sadza — tylko biała, oślepiająco śnieżnobiała...

Wtem materia zesunęła się z haka i spadła na podłogę. I wtedy zaszła w niej dziwna przemiana: w mgnieniu oka biała kula szerniała na węgiel i u stóp naszych pozostała duża, metalicznie połyskująca kupa czarnej jak smoła sadzy.

— Oto co z niego pozostało — szepnął w zamyśleniu Kalina.

A po chwili dodał jakby do siebie:

— Z sadzys powstał i w sadzę się obróciysz.

I złożywszy na nosze nieszczęśliwych towarzyszy, odnieśliśmy ich ciała do miasta.

Wkrótce potem obaj z majstrem dostaliśmy szczególnej wysypki. Na całym ciele pojawiły się nam duże, białe krosty, niby perłowe krupy, i trwały przez parę dni. Potem znikły równie prędko i niespodzianie i szczyły bez śladu.

## Czerwona Magda

W strażnicy pogotowia pożarniczego panowała cisza północy. Światło latarni-czujki naciągniętej wysoko na haku pod stropem roztaczało przyćmiony wachlarz promieni na izbę kwadratową, z dwoma tapczanami pod ścianą i szafą na akta i hełmy zapasowe. Pod oknem przy stole siedziało dwóch strażaków nad partią warcabów, puszczając od czasu do czasu kłęby żółtego dymu z długich wiśniowych lulek. Grali znać bez przejścia, tak sobie, dla zabicia czasu, bo ruchy rąk były leniwe, jakby od niechcenia, gdy z twarzy znuzonych czuwaniem wiała nuda i senna. Czasem któryś ziewnął szeroko i rozprostował

<sup>120</sup> Wyciągnęliśmy (...) i złożyli (daw.) — konstrukcja, w której końcówka fleksyjna pierwszego czasownika ma zastosowanie również dla kolejnego (kolejnych); dziś: Wyciągnęliśmy i złożyliśmy. [przypis edytorski]

<sup>121</sup> zoczywszy (daw.) — zobaczywszy. [przypis edytorski]

przygarbione ślęczeniem plecy, czasem bąknął półgębkiem jakąś uwagę. I znów zapadała cisza spowita dymem fajek.

Na tapczanach leżało dwóch dyżurnych; jeden pod lewą ścianą chrapał smacznie w oktawę tonów, gdy jego partner ze strony przeciwnej ćmił w milczeniu papierosa ze wzrokiem wbitym nieruchomo w pułap. W jakiejś chwili oderwał oczy od sufitu, przydusił dogasający ogarek i rzucił w kąt izby. Jeden z grających odwrócił się:

— Nie śpicie, panie sierżancie?

— Jakoś mi się nie klei. Grajcie dalej. Wolę dumać.

Wyciągnął się z powrotem na łóżku, splótł ręce pod głową i zapatrzył się w zamyśleniu w duży wiszący obraz św. Floriana. Niewesoła znać była zaduma, gdyż twarz mu się chmurzyła raz po raz i co chwila ściągał boleśnie długie czarne łuki brwi.

Jakoż miał się czym kłopotać sierżant pożarny, Piotr Szponar. Od trzech tygodni powróciła do miasta na służbę jego jedynaczka, Magda, a wraz z nią te same troski i obawy, które przed dwoma laty zmusiły do wydalenia jej w strony odległe, gdzie jeszcze o niej nikt nic nie słyszał.

Bo dziwnym też stworzeniem była córka strażaka. Wysoka, wątła i blada, zwracała uwagę dużymi, czarnymi, wiecznie w przestrzeń zapatrzonymi oczyma i ruchami rąk, których nigdy opanować nie umiała. Ręce te, równie blade jak twarz, przebiegały ustawicznie jakieś nerwowe dreszcze czy skurcze, wywołując niespokojny, spazmatyczny ruch palców — długich, wąskich, wiecznie zimnych. Włosy miała bujne, czarne, które w lśniących kruczo wężach wymykały się spod jedwabnej, ognistopomarańczowej chusty, jedynej ozdoby, na jaką stać było biedną dziewczynę.

Bo biedna była, bardzo biedna córka pożarnika. Matka Marta, podobno wielkiej piękności Cyganka, odumarała ją wcześniej, pozostawiając w spadku naturę chorą jakąś, niesamowitą, i tęsknotę do wielkich, bezkresnych stepów. Ojciec kochał Magdę uczuciem tkliwym i serdecznym, lecz jakby z odcieniem lęku przed własnym dzieckiem. Piotr Szponar bał się swej córki. Bał się jej białej jak marmur twarzy, jej wąskich, zaciętych uporczywie ust, jej długich a częstych zamyśleń. Lecz były i inne, głębsze przyczyny ojcowskiego lęku.

Oto żonie jego jeszcze, gdy wiodła pośród swoich życie nomadów, przepowiedzieć miała stara Cyganka, że uwiedzie ją człowiek biały, osiadły i że spłodzi z nim dziecię — dziewczynę, córkę płomieni, którą ojciec będzie zwalczał przez całe życie.

Wróżba zdawała się dziwnie spełniać. Marta dożyła tylko pierwszej jej połowy, porzucając dziecko na zawsze już w piątym roku życia. Z trwogą czekał Piotr na ziszczenie się niejasnej dlań zrazu części drugiej. Aż przyszedł czas, w którym tajemnicze słowa wiedźmy zaczęły nabierać właściwego znaczenia. Magda Szponar miała wtedy lat 15 i służyła w mieście w fabryce tutek, gdy wybuchł pierwszy pożar: zapaliły się nie wiadomo jakim sposobem skrzynie z bibulkami i pożoga rozszerzyła się na cały zakład w przeciągu kilku minut. Strata była olbrzymia; szła w krocie. Sprawcy nie wykryto nigdy. Natomiast po ugaszeniu pożaru znaleziono robotnicę Magdę Szponar w małej salce środkowej cudem ocalałej z morza płomieni, rozpostartą na podłodze w głębokim uśpieniu. Dziewczyna prawdopodobnie przetrwała w tym stanie cały pożar i dopiero po dwugodzinnym cuceńniu otworzyła ociężałe ze snu powieki. Jak zdołała wytrzymać przez godzinę bez uduszenia się w zamkniętym pokoju otoczonym zewsząd falami ognia i w jaki sposób w ogóle ocalał pokój, położony w samym środku płonącego budynku — pozostało na zawsze nierozwiązaną zagadką.

Po tym wypadku zmieniała Magda parokrotnie chlebodawców, służąc przeważnie jako pokojówka przy zamożniejszych rodzinach, jako garderobiana w kawiarniach lub panna sklepowa. I zawsze jakimś fatalnym trafem wkrótce po jej wstąpieniu do służby wybuchały pożary w domach i instytucjach, w których była wtedy zajęta. Przyczyna tych klęsk żywiołowych pozostawała za każdym razem niewyjaśniona; ludzie stawali zawsze już wobec faktu dokonanego.

Zrazu nikomu ani śniło się szukać jakiegoś związku między pożarami w mieście a Magdaleną Szponarówną, której zachowanie się poprawne i bez zarzutu nie zwracało na siebie niczyjej uwagi. W końcu jednak zaczęły wśród warstw miejskiego proletariatu krążyć jakieś dziwne pogłoski na temat częstych wypadków ognia w czasach ostatnich. Doszło bowiem do tego, że nieraz gorzało w mieście po dwa i trzy razy na tydzień, i to

Córka, Ojciec, Ciało,  
Strach, Ogień, Czary,  
Żywioły, Czarownica

— rzecz dziwna — ciągle w tym samym miejscu; ogień jakby upodobał sobie pewne dzielnice — co więcej, pewne domy, rodziny, nawiedzając je w sposób szczególnie natrętny. Wreszcie ni stąd, ni zowąd, po okrutnym pożarze na Lewandówce, który spalił niemal doszczętnie świeżo wystawioną kamienicę miejskiego syndyka, gruchnęła nagle pogłoska, że sprawczynią tylu klęsk nie jest nikt inny tylko Magda Szponarówna, służąca w domu Doleżanów. Wzburzony tłum pospółstwa napadł na nią na środku rynku i byłby przeprowadził nad nieszczęśliwą doraźną egzekucję, gdyby nie interwencja ojca, powszechnie lubianego i cenionego obrońcy dobra publicznego, i policji, która uprowadziła dziewczynę przed zemstą rozwścieczonego motłochu.

Przeprowadzone nader surowo i ściśle śledztwo nie wykazało winy podsądnej; sędzia śledczy stwierdził tylko ku powszechnemu zdumieniu na podstawie zeznań świadków i oskarżonej, że w przeciągu roku niespełna jej służby zaszło w mieście przeszło 100 pożarów, i to przeważnie tylko w domach jej chlebodawców w danej chwili. Nadto ustalono charakterystyczny fakt dotyczący zachowania się Szponarówny w czasie podejrzanych pożarów: oto w 50 wypadkach na 100 znachodono<sup>122</sup> ją po ugaszeniu ognia w stanie nieprzytomnym, prawie kataleptycznym<sup>123</sup>, zwykle wewnątrz domu, który uległ klęsce. Oto wszystko. Dowodów winy bezpośredniej nie zdołali oskarżyciele przytoczyć ani w jednym wypadku; ani razu nikt jej nie przyłapał na gorącym uczynku. Owszem, o podpaleniu jakimkolwiek, zdaje się, nie mogło być mowy, gdyż jak wynikało z zeznań świadków naocznych i poszkodowanych, dziewczyna od chwili wybuchu pożaru aż do ugaszenia pozostawała jakby w transie i nie ruszała się z miejsca; ponadto ogień wybuchł nie w bezpośredniej jej bliskości, lecz zwykle w pewnym oddaleniu, np. w drugim lub trzecim pokoju.

Kilku lekarzy ekspertów, którzy okazali żywe zainteresowanie się tą sprawą, po dokładnym zbadaniu Magdy uznało ją za istotę anormalną, z przewagą sił podświadomych, skłoną do katalepsji, a nawet somnambulizmu<sup>124</sup>.

Ostatecznie zapadł wyrok uwalniający; lecz po cichu poradził sąd sierżantowi pożarników, by córki do służby więcej nie posyłał, a to ze względu na podniecenie opinii publicznej, która była stanowczo przeciw Magdzie. Jakoż mimo wyroku ulaskawiającego odtąd Szponarówna, przezwana Czerwoną Magdą, uchodziła za podpalaczkę i czarownicę, której wszyscy schodzili z drogi, bojąc się przypuścić ją na próg swego domu.

Znękany ojciec wysłał ją w strony odległe, do krewnych na wieś w nadziei, że po jakimś czasie będzie mogła powrócić, gdy zatrze się pamięć katastrof, a ludność uspokoi się i zapomni o Czerwonej Magdzie.

Jakoż spędziła na wsi dwa lata, nie dając o sobie znaku życia. Wtem przed trzema tygodniami powróciła nagle do miasta bledsza niż zwykle, z zapadłymi policzkami i śladami łez w zaczerwienionych oczach. Na pytania odpowiadała niechętnie, z widocznym przymusem i tylko rwała się do służby, nie chcąc być ojcu ciężarem w domu. W końcu ustąpił na usilne błagania i choć z ciężkim sercem, wyrobił jej miejsce w domu bogatego kupca Duchnica przy ul. Młynarskiej. Dziewczyna objęła tam miejsce służącej i od tygodnia spełniała już gorliwie obowiązki.

W mieście zjawienie się Czerwonej Magdy przeszło jakoś bez wrażenia i zdawało się, że nikt na to nie zwrócił uwagi. Lecz Piotr Szponar gryzł się tym powrotem ogromnie i z dnia na dzień wyczekiwał złych „nowin”. Bo mimo wyroku władz, mimo wyraźnych zaprzeczeń z ust samej Magdy pożarnik nie wierzył w jej niewinność; gdzieś głęboko, na samym dnie duszy, drzemało przekonanie, że wszystko, co ludzie o niej mówią, jest okropną i smutną prawdą. On, ojciec i sierżant straży pożarnej w jednej osobie, mógł coś o tym powiedzieć — on, który gasił własną ręką wszystkie po kolei pożary, jakie opinia ludzka wiązała w tajemniczy sposób z jego Magdą. Miał czas już poznać dokładnie wszystkie towarzyszące im symptomy i zbadać je do gruntu; odróżniał je jakimś osobnym, swoistym zmysłem od innych „zwykłych”, którym też napatrzył się do woli. Nie na darmo dosłuchał się stopnia sierżanta i uchodził za pierwszorzędną siłę pożarniczą. Gdy-

<sup>122</sup>znachodzić (daw.) — dziś: znajdować. [przypis edytorski]

<sup>123</sup>katalepsja (gr.) — zeszywnienie ciała połączone z utratą swobody ruchów w stanach histerii, hipnozy, letargu lub w chorobach psychicznych. [przypis redakcyjny]

<sup>124</sup>somnambulizm (z fr.) — najgłębsze stadium hipnozy, w którym uśpiony jest bezwzględnie posłuszny rozkazom hipnotyzera. [przypis redakcyjny]

by go spytano na spowiedzi: „Sierżancie pożarny, Piotrze Szponar, czy córka twoja jest winna?” — odpowiedziałby, że nie, o ile chodzi o jej własne sumienie i pełną ludzką świadomość. Lecz gdyby go ktoś zapytał, czy wierzy w bezwzględną niewinność Magdy, zaprzeczyłby równie stanowczo.

Najwięcej go jednak bolało, że to właśnie jego córka, jego krew. Tkwiła w tym jakaś bolesna ironia, że jego rodzone dziecko zdawało się stwarzać dookoła siebie ową niszczącą siłę, którą on tępił zajadłe od tylu lat. Czasami przychodziła dziwna myśl, że może właśnie dlatego, może właśnie za tę zaciętość, z jaką zwalczał ogień, przyszedł nań dopust; może okrutny żywioł mścił się na nim w ten sposób? Nie wiadomo. Szponar błędził i cierpiał ogromnie.

Oto i teraz, w tej śródnocnej godzinie, trwożne myśli nie dawały spokoju, wałęsając się jak upiór pod czaszką.

Dźwignął się ciężko z tapczanu i aby czymś odpędzić męczącą zmołę, zaczął przeglądać regulamin pogotowia wycięty na ścianie. Lecz i to, znać, mu się wkrótce uprzykrzyło, bo odwrócił się znudzony do tablicy na rozkazy i kredą jął kreślić jakąś karykaturę.

Wtem targnął ciszą głos dzwonnka: trzy ostre, dojmujące uklucia. Automaty pożarowe grały.

W strażnicy wszczął się nagły ruch, przemykały pod oknami w nerwowym pośpiechu jakieś postacie. Szponar z bijącym sercem studiował wskazówki automatu. Każda chwila przynosiła mu nowe szczegóły, sprecyzowane na minutę, sekundę. Strażak wlepił oczy w lśniąca platynową tarczę, ale je wnet zamknął z powrotem. Jak gracz niepewny karty trzyma ją długo pod ręką, zanim odwróci i chwilę zgaduje — tak pożarnik nakrył trwożnie powiekami oczy i bał się spojrzeć w twarz prawdzie. Wreszcie podniósł je, wpijając głodne spojrzenie w aparat. Tu już była odpowiedź gotowa: zwięzła, wyraźna, nieubłagana.

— Gore<sup>125</sup>! Dzielnica IX. Garbarze. Młynarska.

Szponar zachwiał się i zbladł. Przeczucie nie omyliło go. Tak — to było tam — na pewno! Gdzież by indziej? Niewątpliwie paliło się u Duchniców! Ogniowa kalwaria rozpoczęła się od nowa. Już w trzecim tygodniu służby! Zawierucha bólu i buntu przegięła go na chwilę ku ziemi. Lecz się przemógł. Nie było czasu do namysłu; należało działać, wydać rozkazy, objąć dowództwo.

Już grała na alarm trąbka, zwołując pogotowie, już drzemiący jeszcze przed chwilą pompierzy przypasywali pospiesznie gurty<sup>126</sup>, nakładali szlomy<sup>127</sup>, przerzucali przez plecy zwoje sznurów i linówek ratunkowych.

Sierżant wybiegł ze strażnicy na dziedziniec. Tu pod wspinalnią i w magazynie wrzały już gorączkowe przygotowania do wymarszu. Przez szeroko rozwarte wierzaje wyprowadzano ze składu parę sikawek, wyjechał samochód rekwizytowy i dwie kominiarki do wyłącznej dyspozycji załogi. W blasku reflektorów połyskiwały na głowach metalowe kaski, zapalały się zimne światła w obuszkach toporów.

Szponar, spokojny już i zrównoważony, wydawał zlecenia. Donośnie brzmiał na dziedzińcu głos jego równy, pewny, męski.

— Wentyle w porządku? — rzucił w pewnej chwili pytanie.

Parę posłusznych ramion pochyliło się w lot ku tłokom sikawek i przeprowadziło próbę.

— Panie sierżancie, melduję, że wentyle grają — zgłosił rezultat jeden z pompierów.

— Dobrze. Hej, chłopcy! — krzyknął, zajmując stanowisko na jednym z wozów. — Komu w drogę, temu czas! Z Bogiem, ruszajmy!

Zadrgała w powietrzu rześka pobudka trąbki As, rozskoczyły się na obie strony skrzydła bramy wyjazdowej i wśród zgiełku hubek, w krwawym świetle zapalonych pochodni runęły w ciszę ulic wozy pożarników: na czele pędził w szalonym tempie samochód z rekwizytami, za nim drugi zjeżony żebrami drabin, widłami, dzaganami i tłumnicami, z potężnym zbiornikiem wody w pośrodku, za nim dwie sikawki typu „Matador” z czeladzią do obsługi, na końcu auto osobowe z załogą pod dowództwem sierżanta...

Była trzecia nad ranem, głucha, listopadowa noc. Gwałtowny wiatr wypadał z parowów ulic i zaułków i miotał w oczy całe przygarście prochu, pyłu i brukowego kurzu.

<sup>125</sup>goreć — palić się. [przypis edytorski]

<sup>126</sup>gurt (z niem.) — pas, pasek. [przypis edytorski]

<sup>127</sup>szlom a. szłom (daw.) — rodzaj hełmu otwartego; szyszak. [przypis edytorski]

Skądś, z ogrodów, leciały żółtkłe tuleje jesiennych liści i z suchym szelestem toczyły się po płytach chodników...

Minęli Aleje, skręcili na Świętojańską. Z dala, ponad wieżami farnego kościoła, gorzała luna pożarów. W oknach ukazywały się wylęknione głowy, w bramach zaspani dozorczy; na placach zaczęły skupiać się gromadki ludzi.

A w puste, wydłużone pierzejami latarni ulice wpadały zwoje dźwięków ostrych, krzykliwych, odezwy pożarniczych hubek, głos trąbki *As* metaliczny.

— Gore! Gore!

Docierali do placu św. Ducha. Sponad zrębów kamienic strzeliły w niebo krwawe siklawy ognia, wił się dym w czarnych, żałobnych przegubach. W powietrzu czuć było już swąd spalenizny, słychać wzrastający wciąż zgiełk ludzi...

Minęli plac, lotem strzały okrążyli budynek poczty i z wściekłą furią runęli w ujście Młynarskiej. Tu w głębi po lewej uderzyła w oczy groźna krasa pożaru. Palił się trzypiętrowy dom kupca Duchnica. Ogień, wybuchły na wysokości pierwszego piętra, podsycany bez przerwy podmuchami jesiennego wiatru, ogarnął w przeciągu kwadransa wyższe piętra i sięgał już purpurową wstęgą po parter. Mimo nocnej pory wkoło jasno było jak w dzień. Wśród krzyku ludzi i trzasku płomieni wpadło pogotowie na duży, w tej chwili tysiącem iskier zasypyany skwer przed kamienicą. Przyjął ich piekielny zgiełk i jęki. Na ulicy wkoło domu leżały stosy wyrzuconych z pomieszkań sprzętów, całe hałdy kufrów, szaf, kobierców w dzikim chaosie nieładu.

Pożar wybuchł tak nagle i rozszerzył się tak szybko, że wiele osób zdołało zaledwie umknąć w samej bieliźnie. Innym drogę odcięły buchające z dolnych pięter płomienie, ci pozostali w płonącym domu, czekając pomocy strażaków. Co chwila ukazywały się w oknach wybladłe twarze nieszczęśliwych, daremnie żebrząc o ratunek, który nie nadchodził. Jakaś kobieta, przywiedziona czekaniem do rozpacz, rzuciła się z drugiego piętra na bruk i skołała na miejscu. Na ten krytyczny moment nadjechali pożarnicy. W mgnieniu oka usunięto z ulicy gawieź i ułożono linię wężową od domu do brzegu sąsiedniej rzeki. Zanim gumowe stawki nabrały dostateczną ilość wody do zbiornika, rozpoczęły swą działalność potężne ekstintory<sup>128</sup>. Dzielny „*Rese*” i „*Matador*”, zasilane gorliwie przez podręczne hydrofory, natarły strumieniami wody na ognisko pożaru: pierwsze piętro i parter. Równocześnie przystawiono do muru pięć drabin wysuwalnych i dwa gęsioriki. Unosząc prawą ręką wysoko w górę prądnicę węża, wspinał się pierwszy na szczeble sierżant Szponar.

— Za mną, chłopcy! — zachęcił gromkim głosem towarzyszy.

Sześciu pożarników, zagranych jego przykładem, zaczęło wstępować po drabinach ku zagrożonym piętróm; za nimi w ślad pełzały ku górze węże wylotowe, przymocowywane po drodze podwiązkami do łąt i szczebli. Dosiąwszy poziomu pierwszego piętra, puścił Szponar mocny, ześrodkowany prąd wody do mieszkania naprzeciw, w którym kłębiły się gęste runa ognia i dymu. Czerwona topiel na chwilę wkleśła gdzieś w głąb, odsłaniając wnętrze pokoju na pół ogołoconego ze sprzętów.

— Stąd chyba już uciekli — wyciągnął szybki wniosek. I pozostawił opiekę nad pierwszym piętrém dwóm towarzyszom, którzy dogonili go tymczasem.

Ponieważ drabina nie wysuwała się wyżej, przeto zaczepił się karabińczykiem o przedostatni jej szczebel na poziomie pasa, chwycił podaną mu z dołu przez kolegę drabinkę hakową w obie ręce i podniósłszy wysoko w górę ponad głowę, zahaczył ją w mig krukami o okno drugiego piętra. Po dokonaniu manewru z bajeczną wprawą i chyżością zaczął wspinać się po szczeblach z dobytym toporkiem w prawej.

Już płomień, przeżarłszy opustoszałe dwa dolne poziomy, sięgnął krwawą grzywą po trzeci; już długie, gorące języki podlizywały balkony i ganki drugiego piętra, już wciskały się czerwone żądla przez drzwi i okna. Rozległ się brzęk pękających szyb zmieszany z krzykiem ludzkim.

Na jednym z balkonów zbiło się w gromadkę kilkunastu mieszkańców, zasłaniając się rękoma przed dojmującym już z bliska żarem.

W tej chwili sierżant dotarł do platformy drugiego piętra. Ruchem szybkim jak myśl wyciągnął ramię po najbliższej stojącej kobietę z rozwianym od wiatru włosom, uniósł ją

<sup>128</sup>ekstintor (z łac.) — przyrząd do gaszenia ognia. [przypis redakcyjny]

lekko ponad balustradę balkonu i podał stojącemu niżej towarzyszowi, który omdlewającą mu na rękach sprowadził na dół.

— Płachta ratunkowa! — zakomenderował Szponar, widząc, że gromadka na balkonie powiększa się i pożar wtargnął już do wnętrza.

Uratowawszy w ten sposób jeszcze parę osób, porucił resztę kolegom, sobie pozostawiając najtrudniejsze zadanie w głębi płonącego domu. Poprawił na głowie kaptur dymowy, odpiął karabińczyk i okraczywszy ostatni szczebel drabiny, wskoczył przez okno do środka. Za nim wśliznął się zdradziecki płomień.

Rozpoczęło się bohaterskie dzieło pożarnika. Jak nurek na dnie morza rzucał się Szponar na wsze strony w gorączkowym szukaniu, przebiegał pokoje, przepatrywał zaciszne, z przepychem urządzone buduary, przemierzał nerwowym biegiem opuszczone świeżo sypialnie. W pewnej chwili natknął się na jakieś ciało, leżące na posadzce. Schylił się, dźwignął i wśród kłębow duszącego dymu zawrócił ku oknu. Tu na szczęście trafił na jednego z pompierów i oddał mu swój ciężar: śliczną, dziesięcioletnią może dziewczynkę.

— Przyczepić do dwóch ostatnich piętér wory ratunkowe! — krzyknął na pożegnanie rozkaz, zawracając sam na boczne skrzydło w głąb.

W tej chwili zwycięski pożar opanował lewą połąć drugiego pietra i wciskał się palącą lawą w sam środek. Sierżant obrócił się na moment, by ujrzeć wysuwającą się z jakiejś alkowy wąską, purpurową szycę płomienia. Wciągnął w nozdrza powietrze i wtedy uczył znany sobie tak dobrze zapach jej włosów.

Nie po raz pierwszy spotykał się z tą wonią w czasie pożarów: płomienie pachniały macierzanką i liśćmi orzecha — wonią tych samych odwarów, którymi Magda tak chętnie zmywała swe długie, czarne włosy.

Nie ulegało wątpliwości: to był jej pożar.

Jak pędzony przez furję, rzucił się w wąski korytarz na prawo, skąd dochodziły go jęki. Lecz tu u wylotu zastąpiło mu drogę czerwone widmo dziewczki. Była wysoka nad miarę ludzką, wyolbrzymiała jakaś, potworna i potrzasała w ręce trzymanym ognistym strąkiem.

Zasłonił się przed nią wyciągniętym ramieniem i dygocąc na całym ciele, zapytał chrapliwie:

— Czego chcesz ode mnie?

W odpowiedzi zagrał jej na ustach okrutny uśmiech i spłynął strugą ognia po płomiennych jagodach. Podniosła ognisty swój strąk i zagroziła nim przejście.

— Z drogi! — krzyknął, obłąkany ze strachu i gniewu. — Z drogi, Magda!

I przeszedł przez nią jak przez purpurową mgłę. Zapiekło go coś tylko okropnie na rękach i szyi, że syknął z bólu. Lecz przedarł się.

W następnej chwili już wynosił na rękach jakąś staruszkę i siadłszy okrakiem na oknie, podawał ocaloną jednemu ze strażaków na drabinie.

Tymczasem inni spuszczaali mieszkańców w dół na płachtach lub co silniejszych, zwłaszcza mężczyzn, w krzesłach ratunkowych, związanych naprędce ze sznurów i linewek; kilku odważniejszych skoczyło wprost na rozpostarte w dole koce. Pozostało jeszcze ostatnie piętro. Mimo wysiłków strażaków pożar podniecany piekielnym wichrem opanował już cały dom i sięgał tryumfalnie ponad dach.

Szponar dwoił się i troił. Był wszędzie. Jak demon zbawienia miotał się w największy ogień, z pogardą życia bez granic zawisał nad przepaścią, jak linoskok wahał się co chwila między niebem a ziemią. Własnoręcznie wyniósł z płomieni 20 osób, ocalił z niebezpieczeństwa życia dwóch kolegów, zabezpieczył odwrót kilku innym. Lecz ciągle, bez przerwy przesładowało go widmo czerwonej dziewczki, drażniła woń ognistych jej włosów. Tu wynurzała się jej twarz z mgławicy dymów, tam przesuwała się jej krwawa postać na tle walącego się w dół ganku, ówdzie powiewały mietlicą iskier jej piekielne warkocze.

Nie zważał na nic i opancerzony w stal żelaznej woli spełniał po bohatersku swój obowiązek. Aż nadeszła chwila najstraszniejszej próby.

O ocaleniu domu nie mogło już być mowy; poprzepalane belki wyższych piętér waliły się z loskotem w dół, podziurawione jak rzeszota sufity zapadały się z głuchym rumorem. Mała garstka mieszkańców z trzeciego piętra skupiła się w jednym z okien na prawym skrzydle na poły objętym przez pożogę: dwóch starców, jakiś chory kaleka i młoda matka z niemowlęciem przy piersi.

Kobieta, Ogień, Żywioty,  
Zapach

Strażacy pod przewodnictwem sierżanta przypinali pośpiesznie wór ratunkowy, którym miano spuszczać tych najniebezpieczniejszych na ziemię.

Wtem rozległ się spazmatyczny krzyk kobiety z okna. Nieszczęśliwa przytrzymując lewym ramieniem płaczące dziecko wskazywała drugą ręką poza siebie na zbliżające się z przerażającą chyżością kotłowisko płomieni z głębi pokoju. Gryzący dym w żółtych skędzierzawionych kłakach przykrył na moment tragiczną grupę.

Gdy w chwilę potem wiatr odgarnął tę duszną zasłonę, ujrzał Szponar ścinający krew w żyłach obraz.

Przez okno przegięła się wężowym przegubem Czerwona Magda i ognistym swym żegadłem usiłowała podpalić rozpięty już wór ratunkowy. Szatański uśmiech igrał na wargach dziewczki, piekielna radość rozświecała twarz w okoku żarem zionących włosów. Zjadliwe żądło już, już dosięgało płótna...

— Jezusie, Mario! — jęknął Szponar. — Giń, maro!

I zakreśliwszy w powietrzu znak krzyża, rzucił w nią toporkiem.

Cios trafił w czoło. Rozległ się okropny skowyt i długie, przeciągłe wycie.

Czerwone widmo cofnęło się skwapliwie w głąb domu i wsiąkło bez śladu.

Sierżant powiódł ręką po czole i spojrział wkoło błędnymi oczyma.

Coś się w nim nagle załamało; nie miał już sił do dalszej akcji. Wyręczyli go towarzysze.

Pożar nagle jakby przygasł, skurczył się, ustępował; sikawki wzięły nareszcie górę. Wśród deszczu rozpylonej ich paszczami wody spokojnie już spuszczone worem na dół ostatnich mieszkańców.

Szarzało na niebie, gdy umęczeni śmiertelnie, czarni od dymu i kopci pożarnicy zeszli po drabinach na ulicę. Chwiejnym krokiem zamykał ich pochód sierżant Piotr Szponar...

Nagle doszły go jakieś okrzyki. Z tłumu zgromadzonego pod spalonym domem padło niespodzianie okropne przezwisko:

— Czerwona Magda! Czerwona Magda!

Machinalnie rzucił się pomiędzy ludzi.

— Rozstąpić się! Rozstąpić się! To jej ojciec!

I utworzył się długi męczący szpaler aż do zwęglonej bramy wchodowej kamienicy.

Strażak przeszedł jak pijany ten szpaler, siepany biczami spojrzeń, i skręcił bezwiednie na lewo, do jakiejś małej stancyjki cudem ocalałej z pożaru. Tu w kącie na lichym barłogu ujrzał w kałuży krwi zwłoki swej córki; z okrutnie rozwalonej czaszki sączyła się czarna, na pół już zakrzepla posoka.

— Magduś! Magduś moja! — zakrakał jakimś nieludzkim głosem.

I zatoczył się nieprzytomny pod ścianę.

## Pożarowisko

Rojecki sięgnął po leżącą na tacy sporą paczkę listów; otworzył jeden, przebiegł oczyma parę linii i odrzucił znudzony.

— Stara bajeczka — ziewnął, przechodząc do następnego.

— Nieciekawo — mruknął po chwili, odkładając i ten z widocznym zniechęceniem.

Trochę ożywił się przy czytaniu trzeciego.

„Przyjacielu! — pisał jakiś anonim. — Precz z przesądami! Pozostawmy je starym babom i schyłkowym zdechłakom. Od zamiaru raz powziętego nie odstępuj. Dość tych wahań!...

Życzliwy”.

— Hm, hm — mruknął w zamyśleniu, wpatrując się w czerwony podpis „życzliwego”.

— Hm, hm... Znać się ludzie bardzo tą sprawą interesują.

Opuścił krzesło i wydobyl z szufladki biurka dużą, w żółty papier owiniętą paczkę listów dawniejszej daty. Wybrał kilka i rozłożył je przed sobą na pulpicie.

„Charakterystyczne — myślał, porównując je ze świeżo otrzymanym. — Pisma niewątpliwie różne, a jednak treść wszędzie niemal identyczna. I te podpisy anonimowe, i to czerwonym atramentem lub teźże barwy kredką! Ciekawe, ciekawe! Co to ma znaczyć? Historia arcykomiczna i arcytajemnicza. Listy pisane zwykłym czarnym atramentem, a zamaskowane podpisy krzyczą lubryką czy minią. Jakiś klub czerwonych czy co? Wariackie cyrografy!”

Trochę go to już zaczęło irytować. Od czasu gdy powziął zamiar wystawienia willi w jednej z odległych dzielnic Kobrynia, poczęły zewsząd napływać doń listy w wyraźnym związku z tą sprawą. Charakterystyczna była okoliczność, że nieproszeni doradcy należeli do dwóch wyraźnie sobie przeciwnych obozów; jedni, tak nazwani przez Rojeckiego „czerwoni”, zachęcali go energicznie i gorąco do budowy, drudzy, znani mu osobiście lub ze słyszenia i podpisujący swe listy pełnym nazwiskiem, odradzali równie gorliwie, usiłując za wszelką cenę odwieść go od „szalonego” zamiaru.

Na ogół więcej zaufania wzbudzali przeciwnicy przedsięwzięcia, ponieważ występowali z otwartą przyłbicą, nie kryjąc się pod kryptonimy i tajemnicze inicjały. Z drugiej strony jednak zachęty „czerwonych” miały dlań urok sensacji, budząc żyłkę awanturniczej przekory głęboko ukrytą w charakterze pracowitego archiwariusza. Ponadto racje ich ostrzegawcze opierały się na argumentach niewytrzymujących krytyki umysłu jasnego i trzeźwego, jakim był niewątpliwie Andrzej Rojecki.

Wszystko, cokolwiek mogli przytoczyć znajomi na obronę swego stanowiska, nosiło cechy zabobonu i przesądu zrodzonych z wyjątkowego zbiegu przypadków. Swoją drogą to, co pisali w tej sprawie, było widocznie wyrazem powszechnej opinii miasta od góry do dołu. Panu Andrzejowi wrażliła się mocno w pamięć rozmowa, którą prowadził w miesiąc po przyjeździe do Kobrynia z jakimś rzemieślnikiem opodal „tego miejsca”.

Było to pod wieczór, koło godz. 8. Rojecki, znużony całodzienną pracą, szedł krokiem wolnym jakąś wąską, w górę wstępującą uliczką. Szukał miejsca pod budowę willi, gdyż interesy zawodowe zmusiły go do osiedlenia się na czas nieograniczony w tym mieście brudnym, niesympatycznym i brzydkim. Czując się obco w hotelach i swym obecnym pomieszkaniu przy ul. Długiej, postanowił wybudować sobie własny dom gdzieś daleko od niechlujnego środka miasta i sprowadzić tam rodzinę. Nie mógł się tylko zdecydować, gdzie.

Już od tygodnia włóczył się po peryferii miasta, lecz nigdzie nie natrafił na miejsce stosowne. Wreszcie zapuścił się w stronę zachodnią ulicą Czarną, wybiegającą w dal na podmiejski wygon.

Minął ostatnie parterowe domki, minął hutę szklaną i skręcał już na prawo na jakąś łąkę, gdy wtem zwróciła jego uwagę grupa jodeł rozrzucona kolisto na niewielkim wzniesieniu nad rzeczką.

Miejsce od razu przypadło mu bardzo do gustu. Położenie miało piękne, z dala od zgiełku i zaduchu miasta — za tło zielone łąki i sianożęcia, w perspektywie sinawą ścianę lasów.

Rojecki przeszedł kładkę rzuconą przez rzeczkę, która okalała półskrzemem jodłowe wzgórze, i zaczął podchodzić pod górę. Dostęp był nader wygodny: parę kamiennych schodków prowadziło na szczyt wzniesienia. Kolisko jodeł i świerków było tak zwarte, że Rojecki nie mógł na razie nic przezeń wypatrzyć. Dopiero obszedłszy wkoło pagórek, natrafił od strony północnej szeroki rozstęp między drzewami, przez który wszedł do wnętrza. Tu rozpostarł się przed nim smutny obraz. Przestrzeń zamknięta jodłami była pogorzeliiskiem.

Z kamiennych podwalin sterczały tu i ówdzie zwęglone belki; z dwóch stron pozostałych ścian, grożących za lada wiatru powiewem ruiną i zawaleniem, podstawały tapety niby zdarta skóra od ciała; dachu ani śladu — tylko jakaś sztaba żelazna, prawdopodobnie zwornik szczytowy, przerzucała się czarną przekątnią nad rumowiem wnętrza.

Parę szczegółów wskazywało na to, że dom urządzony był z pewnym komfortem i mógł rościć sobie prawa do wytworności i dobrego smaku. Z otoczenia pozostała nieknięta altana w oplotach dzikiego winogrodu, dwie greckie statuetki na klombach i cysterne z czerwonego pirytu. Rozpięta między dwiema sosnami sznurowa huśtawka wahała się lekko w podmuchach wieczornego wiatru.



Dziwnym trafem pożar nie ogarnął, zdaje się, ani jednego ze świerków, które okalały dom w pewnej odległości.

„Cudowne miejsce” — pomyślał Rojecki, zbliżając się do resztek kamiennego tarasu.

W tej chwili doszedł go spoza jednej z pozostałych ścian dźwięk uderzonego żelaza.

— Ktoś tu jest — szepnął, zmierzając w stronę odgłosu.

Zanim przekroczył osmolone ramy wejścia, wychylił się spoza stosu belek jakiś człeczyna, pozdrawiając go uchyleniem czapki:

— Dobry wieczór panu!

— Dobry wieczór! Nie wiadomo wam przypadkiem, czyj to dom uległ takiemu nieszczęściu?

— A juści że wiem. Popalił się tu przed pięcioma laty niejaki pan Dołżycki, inżynier, i wyjechał potem do Ameryki. Od pięciu lat stoi ta pogorzela nietknięta tak jak w dzień po pożarze. Wypatrzyłem tu sobie wśród gruzów parę żelaznych kun do ujmowania węglów domowych i dziś zabieram ze sobą; nikomu i tak to się na nic nie przyda, a ja, proszę pana, z zawodu cieśla i budowniczy.

— Ach, tak, rozumiem, panie cieślo. Tylko to trochę dziwne, że dotąd nikt się tu nie pobudował. Szkoda miejsca: położenie takie piękne, taki malowniczy zakątek. Czy pan Dołżycki, odjeżdżając, wydał jakie co do tego gruntu dyspozycje?

— O ile wiem — objaśniał rzemieślnik — odstąpił go za darmo gminie miasta.

— Za darmo? Takie śliczne miejsce, i to po takiej stracie?

Cieśla uśmiechnął się tajemniczo.

— I tak by nie był znalazł kupca. Jakoż, jak już panu mówiłem, od pięciu lat nikt się na to nie zląkomił. Nic w tym dziwnego; po co narażać się na pewną stratę? Wiadomo wszystkim, Dołżycki nie był pierwszym, co się popiekl na tym interesie. Ot, co tu dużo gadać — pożarowisko i basta.

— Pożarowisko? Nie rozumiem. Chyba tyle co pogorzeliśko?

— Nie, panie. Pożarowisko; wiem, co mówię. Pogorzeliśko: to co innego. Pożarowiskiem nazwali tutejsi ludzie to miejsce od tego, że się tu jeszcze ani jeden dom przed pożarem nie uchował. Jak pamięć ludzka daleko wstecz sięga, każdy budynek, choćby nie wiem jak lichy, postawiony na tym pagórze, stawał w ogniu prędzej lub później. Powiadają ludzie, że żaden nie przetrwał i czterech miesięcy. Tfy! — dodał, spluwając na ziemię. — Nieczyste miejsce i tyle!

Archiwariusz uśmiechał się niedowierzająco:

— Istotnie ciekawy zbieg przypadków. To niby wygląda tak, jakby ogień po prostu zawiał się na ten pagórek.

Cieśla obruszył się:

— Nie „niby”, proszę pana, i nie „wygląda”, lecz naprawdę zawiał się. I to nie na całe wzgórze, bo tych jodeł, jak pan widzi, nie tyka — tylko na sam środek, tj. właściwie na tę jego część, gdzie stawiano domy.

— No, no — ciągnął dalej z zajęciem Rojecki — a pan, panie cieślo, ileż pożarów na tym miejscu pamięta?

Rzemieślnik zamyślił się, znać<sup>129</sup> szukając w pamięci.

— Dziesięć — odpowiedział po chwili. — Za mojej pamięci dziesięć razy paliło się tutaj. A mam dzisiaj lat trzydzieści.

— Pi, pi! — dziwił się szczerze pan Andrzej. — To niby co trzeci rok.

— A tak jakoś wypada. Podobno dawniej paliło się częściej, kiedy to ludziska jeszcze się nie połapali na tym, co się święci. Najstarsi mieszczenie z Kobrynia pamiętają dobrze te czasy; niejednego by się pan od nich dowiedział: dziwy opowiadają o tym przeklętym pagórku. Toteż w ostatnich latach nikt z okolicy tam się ze stawianiem budynków nie kwapił. Za moich czasów właścicielami domów na tym miejscu byli sami obcy państwo, którzy albo nic o tym lichu nie wiedzieli, lub też jak np. Dołżycki nic wiedzieć nie chcieli.

— A przyczyny pożarów czy zawsze były znane i wyraźne?

— Niby tak, a niby nie. Najczęściej zapalały się w kominie sadze, lecz bywały i inne „powody”: raz rzucił ktoś nieopatrznie zapalną, która gdzie indziej dopaliłaby się spokojnie do końca, nie wywołując ognia, to znów jakimś „przypadkiem” niedogarek papierosa

<sup>129</sup>znać — tu: widocznie, najwyraźniej. [przypis edytorski]

dostał się na wiązkę słomy pod łóżkiem, kiedy indziej przewróciła się płonąca lampa na poduszkę. Ostatni pożar wybuchł niby przez nieostrożność samej pani inżynierowej Dołyckiej, która zbyt blisko palącej się świecy czyściła benzyną rękawiczki. Zawsze jakieś głupstwo, jakaś drobnostka, która na innym miejscu przeszłaby bez skutków; a tu, panie: zaraz ogień tak okrutny, że ludzie ledwo z życiem uchodzą; ratować nawet nie można. Powiadają strażacy, że za każdym razem coś jakby przeszkadza im w robocie i piecze jak diabeł; nasi pompierzy niechętnie też idą na to miejsce, bo prawie żaden z nich nie wychodzi stąd cało, bez poparzeń, a nawet ran poważniejszych.

— Był pan choć przy jednym z tych pożarów? — przerwał mu Rojecki.

— Owszem, przy kilku; mieszkam stąd niedaleko. Nawet mam tu po ostatnim niezgorszą pamiątkę.

Odwinął rękaw koszuli, pokazując dużą, głęboką bliznę na ramieniu.

— Pomagałem ratować i zostałem za to ukarany: jakaś szelmowska belka omal nie zdruzgotała mi ręki. Niedobrze, panie, ratować, gdy tu się pali. To się potem lubi mścić na człowieku. Staszek Luśnia, stelmach zza rzeki, i Walek Wroń, krawczyk, którzy także zabawili się w strażaków przy dwóch pożarach na tym miejscu, mieli w parę dni potem ogień u siebie; ledwo udało go się ugasić. Toteż wreszcie prócz straży pożarnej nikt z miasta nie idzie tutaj na ratunek, by czego nie oberwać. Lepiej złego nie zaczepiać. Zresztą myślę, że teraz chyba już o tym wiedzą na sto mil wokoło i nie znajdzie się nikt, kto by chciał tutaj się osiedlić.

— A jednak — rzekł w zamyśleniu Rojecki — a jednak, kto wie? Może taki się przecież jeszcze znajdzie. Ludzie czasem bywają uparci.

Rzemieślnik popatrzył zdumiony:

— Chyba wariat jaki lub półgłówek. Wyrzucony to pieniądz i pewne niebezpieczeństwo życia.

— Hm — uśmiechnął się znacząco archiwariusz — niekoniecznie, panie majstrze, niekoniecznie. Trzeba tylko być ostrożnym i nic więcej.

I nie przeciągając już dłużej rozmowy, pożegnał go i wrócił do miasta. W parę dni potem podpisał w urzędzie miejskim kontrakt, który za niesłychanie niską cenę oddawał mu na własność „pożarowisko”. Podczas załatwiania formalności zauważył archiwariusz zdumione miny urzędników i znaczące ich uśmiechy. Jakiś pocziwy, siwiuteńki jak gołąb funkcjonariusz, odciągnąwszy go na stronę, po cichu odradzał kupno:

— Niefortunne miejsce — tłumaczył mu, jękając się, starowina. — Parcela pod złą gwiazdą. Nic szanowny pan o tym nie słyszał?

— Może i słyszałem — odparł niewzruszony Rojecki — ale w takie brednie nie wierzę. W każdym razie dziękuję łaskawemu panu za dobre intencje.

I uściśnawszy mu rękę, opuścił biuro.

Nazajutrz przysły pierwsze dwa listy: od znajomego sędziego, odradzający stawianie domu, i drugi, „czerwony”, pełen entuzjazmu dla tego przedsięwzięcia. Potem posypały się dalsze jak z rogu obfitości. W całym mieście zdaje się o niczym innym nie mówiono jak tylko o tym, że przybyły przed miesiącem archiwariusz Andrzej Rojecki zamierza stawiać dom na „pożarowisku”.

Jakoż i postawił. Znudzony natrętną korespondencją doradców, postanowił przez rychy szybkie i stanowcze od razu „urwać łeb tej hydrze” i uwolnić się od wścibstwa kochanych bliźnich. Pewną rolę odegrała też chęć pokazania „małemu światkowi”, jak się to obala przesady i ściera w proch zabobony.

W parę dni po podpisaniu aktu kupna uwiadomił o wszystkim dokładnie żonę, pozostałą na razie w Warszawie wraz z dziesięcioletnim synkiem Józkiem. Pani Rojecka odpisała mężowi odwrotną pocztą, że oczywiście plan jego aprobuje i że zaraz po wykończeniu domu zjedzie do Kobrynia. I ona również nie przywiązywała najmniejszej uwagi do przesądnych pogłosek na temat miejsca, piętując je w liście parokrotnie mianem „dubów smalonych” i „małomiasteczkowych zabobonów”.

Zadowolony z odpowiedzi, sprowadził Rojecki w tydzień potem do Kobrynia znakomitego architekta z Warszawy, pod którego osobistym kierownictwem rozpoczęła się budowa. Szła żwawo, bo archiwariusz pieniędzy nie żałował, i w ciągu dwóch miesięcy stanęła na szczycie jodłowego wzgórza śliczna, w stylu secesyjnym, willa.

Rojecki ochrzcił ją wyzywającym mianem „Pożarowa”. Budowę wykończono pod schyłek wiosny, a z początkiem lipca sprowadzili się państwo Rojeccy.

Pani Maria była zachwycona prowincjonalnym gniazdkiem i od razu znalazła się tutaj u siebie. Józio, błękitnooki wisus, wybrał się zaraz na wyprawę podróżniczą w głąb dziewiczych lasów brazylijskich, jak mu się podobało nazwać gaik jodłowy okalający willę, i niebawem stwierdził z ogromną radością, że żyją w nich rude wiewiórki, a może nawet i sarny.

Ciche od lat wzgórze napęliło się śmiechem i gwarem wesołych głosów. Nawet Nero, duży łańcuchowy pies z białą łatą na uchu, widocznie bardzo był zadowolony z nowej budy pod laskiem, bo poszczekiwał radośnie i wywijiał zamasyżycie ogonem.

Rojeccy postanowili nie prowadzić kuchni w domu; Marianna, dotychczasowa kucharka, objęła funkcję służącej. Obiady i kolacje jadali w jednej z pierwszorzędných restauracji w mieście lub też kazali przynosić do domu. Zarządzenie to, trochę niewygodne, uznał pan Andrzej za konieczne ze względu na ostrożność; w ten sposób unikało się palenia w kuchni, a co za tym idzie, jednej z najprzystępniejszych ewentualności pożaru.

Mimo bowiem całej swej trzeźwości poglądów na tę „banialukę” dał sobie Rojecki uroczyste słowo, że będzie ostrożny. Odrzuciwszy z pogardą wszelkie tłumaczenie zakrawające na „niesamowitość miejsca”, „znalazł” przyczynę naturalną, przeciw której nie buntował się jego zdrowy rozum; oto po prostu anormalna częstość pożarów wynikała, zdaniem jego, ze specjalnych warunków atmosferycznych miejsca; prawdopodobnie przestrzeń zamknięta koliskiem świerków i jodeł była wyjątkowo silnie nasycona tlenem. Ludzie zrazu nie zorientowali się i byli nieostrożni, a potem... potem... Tu nastąpiła w rozumowaniu pana Andrzeja chwilowa niemila przerwa, którą jednak wnet wypełnił mniej więcej w ten sposób: A potem te głupie opowieści o „fatalnym miejscu”, ten śmieszny, zabobonny strach wytworzyły rodzaj autosugestii pchającej do kroków nieostrożnych: coś w rodzaju automatyzmu psychicznego, jakieś bezwiedne ruchy rąk; jakaś zgubna niezgrabność, no i... jest ogień.

Dlatego postanowił Rojecki być ostrożny, nawet bardzo ostrożny. Zawziął się i chciał stanowczo przełamać łańcuch przesądu, który opasał miejsce jego obecnej siedziby, rozzerwać kolisko ognia raz na zawsze i zalać je strumieniem zimnej, zdrowej wody.

Lampy naftowe, świece, maszyny spirytusowe itp. środki oświetlające i ogrzewające zostały stanowczo z „Pożarowa” wykluczone. Natomiast zaprowadzono instalacje elektryczne z centrali tramwajowej; ten sam prąd, rozgałęziając się w wielokrotne odnogi, oświetlał i ogrzewał willę. Śniadania i podwieczorki grzano na kuchence elektrycznej z całym systemem silnych opornic.

Tylko do zapalania papierosów i cygar używał Rojecki benzynowej zapalniczki, i to z zachowaniem wszelkich środków ostrożności: stawał zwykle w środku pokoju w przyzwoitej odległości od sprzętów.

W pierwszych tygodniach przychodziło Rojeckim z pewną trudnością naginanie się do tych wszystkich urządzeń i nowego trybu gospodarskiego, lecz z czasem przyzwyczaili się. I popłynęło życie w „Pożarowie” spokojną, pogodną falą dnia powszedniego.

Pan Andrzej pracował w archiwum miejskim od ósmej rano do południa, potem wracał do domu, gdzie spędzał resztę dnia „na łonie rodziny”. Bliskość lasu o 2 kilometry za rzeczką umożliwiała częste wycieczki przedwieczorną porą, z których Rojeccy wracali rzeźwi i w różowych humorach. W dni pochmurne przechadzali się po kolistych, białym żwirem wysypanych ścieżkach i alejach swego jodłowego gaiku. Gdzieś na zboczu odkrył Józio parę granitowych bloków, z których sączyło się źródelko; pomysłowy chłopiec ułożył kamienie w rodzaju cembrowiny i tak powstała studzienka — cel częstych wypraw i źródło ochłody w skwarne dni lata...

Tymczasem w mieście najpopularniejszym tematem rozmów byli Rojeccy i ich „Pożarowo”. Nie było wenty<sup>130</sup> ani towarzyskiego *soirée*<sup>131</sup>, na których by o nich nie mówiono. Oni sami mało udzielali się choćby z tego powodu, że kobryńska socjeta omijała z daleka „Pożarowo”. Ludzie bali się spędzić choćby dwie godziny w niebezpiecznej willi. Ku nie-

<sup>130</sup>wenta (daw.) — kiermasz, z którego dochód przeznaczony jest na cele dobroczynne. [przypis edytorski]

<sup>131</sup>soirée (fr.) — wieczór; zabawa wieczorna, przyjęcie. [przypis redakcyjny]

zmiernej swej uciesze zauważał Rojecki codziennie zaciekawione miny kolegów, którzy go witali rano w pracowni; z oczu i twarzy tych poczcwiów wyzierało oczywiste zdumienie:

— Jakżeż tam u kochanego pana? Jeszcze się nie paliło?

Co parę dni znajomi, spotkawszy go na ulicy, ze współzuciem patrzyli mu w oczy i ściskając gorąco za ręce, dopytywali się troskliwie:

— Jakżeż się panu mieszka, panie Andrzeju? Nie przytrafiło się panu nic szczególnego?

Archiwariusz „boki zrywał” od śmiechu, opowiadając żonie o tych spotkaniach. Lecz było i paru odważniejszych, którzy od czasu do czasu odwiedzali „Pożarowo”: przeważnie starzy kawalerowie „niemający nic do stracenia”. Ale i ci siedzieli w czasie wizyty „jak na szpilkach”, rzucając wkoło dzikie spojrzenia zaszczutej w kąt zwierzyny. Goście ci wprawiali zawsze Rojeckich w złoty humor. W końcu jednemu z nich poradził pan Andrzej, by nie wybierał się do „Pożarowa” bez eskorty straży ochotniczej. Wtedy gość obraził się i więcej nie przyszedł...

Tak minął spokojnie upalny lipiec i sierpień, minął plenny w owoce wrzesień i chylił się ku końcowi zasnuty pajęczą przędzą październik. W „Pożarowie” nie „stało się” nic. W opinii publicznej nastąpił wyraźny zwrot. Ludzie zaczęli spoglądać na mieszkańców samotnej willi z widocznym podziwem i uznaniem. Jak Kobryń Kobryniem — jeszcze żaden dom na pożarowisku nie przetrwał czterech miesięcy; a tu już czwarty dobiegał do końca, a tam — cicho... Minął październik, zaczął się melancholijny listopad. Rojecki zacierał ręce z zadowolenia, przyjmując z uśmiechem pobłażania gratulacje znajomych z powodu „szczęśliwego przebycia krytycznego okresu”. Goście coraz częściej i dłużej zaczęli przesiadywać w jego domu; znikaly powoli niepokój i nerwowość ruchów. Dobrze i wesoło było w „Pożarowie”, bo gospodarstwo<sup>132</sup> okazali się ludźmi nader gościnnymi. Nastroj dotąd wesoły i pogodny zmienił się niemal w przesadnie hałaśliwy, krotochwilny i szampańsko szumiący. Rojecki drwił nielitościwie z przesądów i uśmiechał się tryumfująco, pani Maria przekomarzała się z panią sędziną na temat dni i miejsc „feralnych”. Józek szalał po lasku i okolicy; nawet Marianna, obecnie „pokojuwka”, zwykle solidna i poważna niewiasta, stroiła żarty w kuchni i śmiała się z byle czego.

Powoli, nieznacznie wyłoniły się w domu nowe upodobania i zwyczaje.

— *C'est drôle*<sup>133</sup>! — zauważyła pewnego dnia po powrocie z wizyty w „Pożarowie” piękna pani Sulimirska — Rojecka nosi od jakiegoś czasu stale ognistoczerwone peniuary; już piąty raz z rzędu przyjmuje nas w tym kolorze.

Spostrzeżenie było trafne. Istotnie Rojeccy ulegli specjalnej sympatii do barwy czerwonej i czerwonopomarańczowej; pani Maria od miesiąca przeszło nosiła suknie wyłącznie w tych dwóch kolorach, którym nadawała tylko rozmaite odcienie i niuanse. Mąż jej stwierdził z zadowoleniem, że jest jej z tym bardzo do twarzy, i chcąc się utrzymać niejako w tym samym stylu, zaczął nosić ogniste, wyzywające krawaty.

— A kolor jego jest czerwony — zanucił mu nazajutrz arię z *Marsylianki* jeden z kolegów.

— Nic nie szkodzi — odpowiedział spokojnie. — Lubię tę barwę i, jak utrzymuje moja żona, jest mi w nim do twarzy. To wystarczy.

I w parę dni potem zmienił krawat na inny, w tonie ceglasto-*orange*.

Lecz i Józiewi znać przypadły do gustu barwy rodziców, bo zaczął dopraszać się nowego ubrania w tym kolorze! Jakoż z okazji urodzin wkrótce potem sprawiono mu czerwony garnitur.

Jakby dla dociągnięcia linii stylu do końca, kazał pan Andrzej w ostatnich dniach listopada obić wszystkie pokoje czerwoną tapetą w ciemnożółte irysy.

— Jaki tu teraz ciepły, miły ton — mówiła pani Maria do męża po przeprowadzeniu metamorfozy wnętrza.

— Nieprawdaż, kochanie? — odpowiedział, całując jej śliczne, aksamitne oczy. — Ciepło zda się sphywać ze ścian — błogie, rozgrzewające duszę ciepło.

<sup>132</sup>*gospodarstwo* — tu: gospodarze domu. [przypis edytorski]

<sup>133</sup>*C'est drôle!* (fr.) — To zabawne! [przypis redakcyjny]

Lecz w mieście uznano te zmiany za dziwactwo, a lekarz powiatowy dr Lutowski określił je nawet jako tzw. erytromanię<sup>134</sup>. Definicja nie wiadomo jakimi drogami dotarła do Rojeckiego, dając mu pochop<sup>135</sup> do nowych drwin:

— Ci poczciwcy — zwierzał się przed żoną — pomawiają nas o rodzaj bzika na punkcie barwy czerwonej, a nie wiedzą biedni, że od lat sami padli ofiarą stokroć gorszej pożaromanii.

— To prawda — przyznała pani Maria, wpatrując się w żelazne zwoje elektrycznego radiatora pod ścianą. — W ogóle mam wrażenie, że wszystkie te środki ostrożności, jakich tu przestrzegamy, są właściwie całkiem zbyteczne, a nawet wprost śmieszne. Oto np. teraz, patrząc na te martwe rury radiatora rozsyłające ciemne fale ciepła, żałuję naszych dawnych poczciwych pieców. Tak się to słodko gawędziło przy trzasku ognia, w świetle czerwonych refleksów igrających po ścianie.

— Masz słuszność, Maniu. I mnie to samo przyszło w tej chwili na myśl. Lecz sprawa jeszcze nieprzesądzona. Jutro każę stawiać piece; będziemy mieli ogień, zapach żywicznych smolaków i rakiety iskier.

— Wiwat! — krzyknął rozpromieniony Józio. — Będą piece! Będzie ogień! Złoty, czerwony, żółty, kochany ogień! O, jak to pięknie i dobrze, tatusiu!

W pierwszych dniach grudnia opalano już willę po staremu za pomocą kaflowych pieców, a w saloniku buzował wesoły ogień w dużym, staropolskim kominku.

Po dokonaniu tego zasadniczego wyłomu w dotychczasowej taktyce nastąpiły dalsze. Rojecki, ośmielony bezkarnością, rozzuchwalił się. W ciągu grudnia przestano stołować się w jadalni, przywracając *ancien régime*<sup>136</sup> kuchni domowej; Marianna ku ogromnej swej radości objęła z powrotem funkcje gastronomiczne.

— Bo i słusznie, proszę wielmożnych państwa — zaopiniowała, wnosząc po raz pierwszy do jadalni obiad „własnego chowu”. — Słyszane rzeczy brać obiady i kolacje z traktierni. W domu kuchnia jak złoto, naczynia błyszczą na ścianach jak diamenty: a my wciąż z restauracji te obrzydlistwa, jakby nie było komu u nas gotować. Obraza boska.

Buntownicza reakcja czyniła szybkie postępy. Obok światła elektrycznego zaczęto używać wieczorami starych, „poczciwych” lamp naftowych; pani Maria nawet stanowczo dawała im pierwszeństwo przy czytaniu nut i szyciu, gdyż „elektryka” działała jej szkodliwie na wzrok. Pojawiły się też niewidziane już od dawna świece. Słowem, oświetlenie i ogrzewanie staroświeckie odniosło w „Pożarowie” stanowcze zwycięstwo nad wymysłami postępu w tej dziedzinie.

W długie, zimowe wieczory skupiała się cała rodzina w saloniku przy kominku, który stał się ośrodkiem domowego życia. Czerwone, jarzące się żarem polan i szczap palenisko wywierało na nich nieprzeparty wpływ, pociągało ku sobie tajemniczą ponętą żywiołu. Godzinami siedzieli w milczeniu, wpatrzeni w krwawą czeluść, zasluchani w pryskanie iskier i szept trawionego drzewa. Czar ognia działał zwłaszcza silnie na pana Andrzeja i Józia; prześcigali się nawzajem w podsycaniu ogniska, dorzucając często bez potrzeby świeżego paliwa.

— Tatusiu — przyznał się pewnego wieczora malec — chciałbym mieć w pokoju takie duże, duże ognisko, jakie rozkładają pasterze po polach jesienią. Mamo — zwrócił się po chwili do pani Marii grającej z wlepionymi w żar oczyma jakąś burzliwą rapsodię. — Prawda, że ogień to piękna, bardzo piękna rzecz?

— Prawda, synku — odpowiedziała wsłuchana w ognistą melodię. I jakby interpretując zachwyty dziecka dla groźnego żywiołu, zaczęła grać arię z *Trubadura*<sup>137</sup>.

— *Con fuoco!* — zachęcał Rojecki, wtórując pięknym barytonem. — *Con fuoco! Piu di fuoco*<sup>138</sup>.

— *Stride la vampa*<sup>139</sup>...

<sup>134</sup>erytromania (z gr.) — maniackie upodobanie w barwie czerwonej. [przypis redakcyjny]

<sup>135</sup>pochop — bodziec. [przypis edytorski]

<sup>136</sup>ancien régime (fr.) — przen. dawny sposób rządzenia, dawny porządek. [przypis redakcyjny]

<sup>137</sup>aria z *Trubadura* — chodzi zapewne o arię Manrica z opery Giuseppe Verdiego (1813–1901) *Trubadur*. [przypis redakcyjny]

<sup>138</sup>*Con fuoco! Piu di fuoco* (wł.) — Z ogniem! Więcej ognia. [przypis redakcyjny]

<sup>139</sup>*stride la vampa* (wł.) — Ogień trzaska, szaleje. [przypis redakcyjny]

Fanatyczny kult ognia przybrał u Józia dziecinne, właściwe wiekowi formy. Parę razy zauważyli rodzice, jak w biały dzień, oczywiście bez celu, zapalał świecę i bawił się godzinami jej płomieniem. Innym razem, wchodząc do sypialni, spostrzegł pan Andrzej na stole płonący stos najrozmaitszych papierów i gazet, a obok Józia śledzącego proces spalania z zachwytem w oczach.

W parę dni potem, podczas sprzątanego pokoju ze zgrozą wydobyła Marianna spod łóżka jakiś przedmiot na pół zwęglony, zawinięty w kilimek. Śledztwo przeprowadzone przez panią Marię wykazało, że owym tajemniczym niedogarkiem była stara szachownica pana Andrzeja, którą Józio ukradkiem skazał na całopalenie.

Chłopak dygotał ze strachu przed gniewem ojcowiskim i skrył się gdzieś w mysią dziurę — lecz ku powszechnemu zdumieniu Rojecki przyjął wiadomość o zbrodniczym czynie z jakąś dziwną wyrozumiałością, nie robiąc mu najłżejszej wymówki.

W ogóle na punkcie sympatii dla ognia nastąpiło między ojcem a synem jakieś szczególne zrównanie: archiwariusz stanął pod tym względem na jednym poziomie z dzieckiem; „rozumiał” namiętność Józia, a nawet — rzecz dziwna — zazdrościł mu tak łatwej formy zaspokożenia jej. Wkrótce miał go prześcignąć.

Gdzieś w połowie stycznia wpadł na pomysł urządzenia „zabawy w ogień”. Podczas gdy żona odrabiała z Józkiem lekcję fortepianu w saloniku, postanowił Rojecki zrobić im „niespodziankę”. Cicho, bez zwracania na siebie uwagi przekradł się z faszki spirytusu do sypialni i tu wylał całą jej zawartość na jedną z poduszek; potem podpalił...

Buchnął silny ogień, obejmując w mgnieniu oka pościel, a pan Andrzej rad z efektu przywołał z sąsiedniego pokoju grających. Pani Maria wydała okrzyk podziwu i trzymając kurczowo rączkę syna, zaczęła wpatrywać się uporczywie w ogniste języki sięgające już zjadliwie po firanki.

Pierwszy ocknął się z drętwoty pan domu, który dotąd ze skrzyżowanymi rękoma śledził rozwój żywiołu. Z jakimś okropnym śmiechem rzucił się do poskromienia ognia; porwał z sąsiedniego łóżka ciężki turecki koc i materac i z furią cisnął je na kłębowisko płomieni. Atak powiódł się: zduszone momentalnie jasnolazurowe węże szczyły gdzieś, wśliznęły się pod pościel. Lecz Rojecki nie dał się zwieść pozorom. Z zapamiętałością pożarnika przypuścił powtórne natarcie, tłumiąc kosmyki bladobłękitnego ognia, które pełzały zdradliwie pod spodem. Zanim upokorzony żywioł zdołał wzmocnić się na siłach, nastąpiła trzecia i ostatnia szarża: tym razem wodą z wiader, które w samą porę podała Marianna. Ogień ugaszono. Pan Andrzej z zaciśniętymi nerwowo pięściami stał jakiś czas bez słowa, obserwując spaloną pościel i nadwęglone do połowy łóżko. Nagle roześmiał się jakoś dziwnie i nieswojo:

— Cha, cha! Mieliśmy „pożar” w „Pożarowie”! Nieprawdaż, Maniu? I zdusiliśmy go własnoręcznie, bez niczyjej pomocy: tymi gołymi rękami. Zdławiliśmy tę czerwoną hydrę — dodał ciszej po chwili. — Cha, cha, cha. Cóż, Józku? Podobało ci się, hę?

I jakby nigdy nic zasiedli wszyscy troje do kolacji. Późno wieczorem idąc na spoczynek w uszkodzonej silnie sypialni, szepnęła pani Maria mężowi do ucha:

— A jednak, Jędrusiu, ogień to piękny żywioł...

Odtąd „niespodzianki” zdarzały się w „Pożarowie” coraz częściej. Z zapamiętałością łobuza urządzał Rojecki rodzinie „ogniste kawały”, nie licząc się z ogromnymi stratami, jakie za sobą pociągały. Bawiło go niezmiernie to rozpętywanie żywiołu, któremu w krytycznej chwili umiał nałożyć wędzidło, napawało szczególną rozkoszą każdorazowe zwycięstwo odniesione nad zdradliwym przeciwnikiem.

Ogień zniszczył pół sypialni, spalił na węgiel parę kosztownych sprzętów, strawił znaczną część bielizny i ubrań. Rojeccy patrzyli na to obojętnie, żądni tylko pożarniczych emocji, spragnieni „czerwonych wrażeń”.

Lecz przed światem ukrywał archiwariusz starannie swoje „zabawy”: Mariannie pod grozą natychmiastowego wydalenia ze służby nie wolno było przed nikim w mieście ani słowem wspomnieć o tym, co się od czasu do czasu zdarzało w willi. Rzecz dziwna — pan Andrzej, tak swobodny pod tym względem wobec żony i dziecka, jakby wstydił się przed ludźmi swoich „upodobań”.

Szkody wyrządzone w domu przez sztuczne pożary naprawiano po cichu i z niezwykłą troskliwością. W razie niespodziewanej wizyty usuwało się momentalnie nadwyróżone

sprzęty, zacierano skwapliwie zdradzieckie ślady lub też sprytna Marianna wprowadzała od razu gościa do pokoju wolnego od kompromitujących przejęć.

Lecz to ciągle ukrywanie się, ta konieczna ostrożność wobec bliźnich drażniły ambicję Rojeckiego. W końcu miał tego dość i postanowił gościom wypłatać figła, który byłby zarazem aktem zemsty.

W którąś niedzielę, gdy sproszone licznie towarzystwo zabawiało się w salonie „Pożarowa”, nagle zajęła się od świecznika portiera wisząca nad drzwiami bawialni. Ktoś krzyknął: „Pożar!” — i wszczęła się okropna panika. Parę pań zemdląło, parę wyskoczyło przez okno w wizytowych tualetach, bez okryć na 20-stopniowy mróz na dworze. W kilku sekundach Rojecki ugasił „pożar” i z sardonicznym uśmiechem zaczął zapraszać spłoszonych gości z powrotem do wnętrza. Lecz ludzie nie mieli ochoty do dalszej zabawy i odprowadzani ironicznym spojrzeniem pana domu pośpiesznie rozchodzili się do siebie.

— A widzicie, kochani państwo — żegnał ich nieubłagany Rojecki. — Cóż? Czy ogień tak straszny na pożarowisku?

— Tak, tak, ma pan rację, kochany panie Andrzeju: podziwiałem energię, z jaką pan opanował przekłętą żywioł — przyznawał ten i ów. — Lecz lepiej, kochany panie, nie igrać z ogniem: ostrożność nie zawadzi.

I chyłkiem wynosili się z willi...

Tak minął luty i zaczęły się powiewy marcowe. Rojecki wciąż bawił się w pożar. Lecz powoli motywy zabawy uległy zmianie. O ile zrazu chodziło przede wszystkim o rozkosz dławienia i pokonywania rozpetanego żywiołu, o tyle teraz satysfakcja z odniesionego zwycięstwa ustąpiła miejsca nieprzezwyciężonej potrzebie ognia dla ognia. Dlatego odkładał moment gaszenia na coraz to dalszą metę, pozwalając płomieniom rozwijać się coraz to swobodniej. Musiał wpierw napaść oczy do woli widokiem rozhukanego ognia, zanim zdecydował się na ratunek. Stąd bywały chwile nieraz nader krytyczne i gra zaczynała być naprawdę hazardowa. Mimo to, nie zważając na niebezpieczeństwo grożące rodzinie, pan Andrzej nigdy nie był zadowolony — zawsze zdawało mu się, że zaczął gasić za wcześnie, że można było jeszcze napiąć strunę o ton wyżej. Nie wiadomo dlaczego, przeczuwał, że wszystkie te „próby” są przygrywką do czegoś większego, tylko nikłą zapowiedzią „zabawy w wielkim stylu”.

I nie omylił się. Wkrótce miała nadejść upragniona chwila. Stało się to 19 marca, w sam dzień św. Józefa.

Po hucznej zabawie u państwa Wareckich powrócili Rojeccy późno w noc do domu. Pani Maria, znużona niezliczonymi turami walca, zapadła niebawem w głęboki sen. Rojecki nie mógł usnąć. Zapalił papierosa i leżąc na wznak, oddał się jakimś nieokreślonym marzeniom.

Powoli obrazy zaczęły zwierać się i gęstnieć, aż zarysował się jednolity, wyraźny kontur płonącego domu.

Rojecki znał ten dom. Był to Pałac Dożów w Wenecji, widziany przed laty w czasie wędrówek za granicą. Teraz stał cały w purpurze pożaru na tle czarnej, dusznej, śródletniej nocy.

Dlaczego właśnie ten pałac? Nie wiedział. Czuł tylko skwar ognia i woń spalenizny wyraźną, całkiem bliską, tuż o parę kroków...

Dźwignął się z łóżka i jak automat zapalił świecę. Ogarniając światło ręką, zaczął szukać czegoś w kufrze. Znalazł bal związany sznurem, przygotowany tam od dawna. Rozwiązał. Posypały się zwoje pakul...

Podłożył pod szafę okrągłą butę kłaków i podpalił. Nie oglądając się poza siebie, przeszedł do salonu, podrzucił pod fotele parę zgrzebnych pakietów i przytknąwszy na chwilę świecę, jak przez sen przekradł się do jadalni. Po chwili podpałał już stół w kuchni i krztusząc się od dymu, rozkładał ogniste zarzewie w pokoju bawialnym. Gdy przechodził do łazienki, już zagroził mu drogę potężny płomień buchający z alkowy. Zaśmiał się doń nerwowym, krótkim śmiechem i zniknął w głębi korytarza z pękiem płonących pakul w ręce...

---

Nad ranem odezwały się w Kobryniu dzwony na trwogę.

— Gore! Pali się! — wołały jakieś przerażone głosy. W oknach ukazywały się wylęk-nione twarze, na ulice wylęgali ludzie. Dzwony grały wciąż przeciągłym, pogrzebowym jękiem.

— Jezus, Maria! — krzyknął jakiś głos kobiety. — Ogień na pożarowiaku! Rojecki się pali!

— I ten się nie uchował!

— I na niego przyszła wreszcie chwila!

Ludzie żegnali się zabobonnie, patrząc w osłupieniu na olbrzymią, czerwoną kolumnę ponad jodłowym wzgórzem za miastem...

Lecz nikt nie śpieszył się na ratunek: strach przykuł nogi do ziemi, spętał ruchy, zmroził wolę...

Z dała nadpłynęła pobudka strażaków: grała trąbka pożarnicza. Po chwili przemknę-ło w pędzie parę sikawek i wóz z personelem ratunkowym. Za kwadrans zajechali na miejsce... Za późno! Willa była jednym morzem płomieni. Ogniste jęzory wyzierały z okien, wypadały wśród kłębow dymu z drzwi, strzelały krwawymi żądłami ponad ko-miny. A wkoło z siekierą w ręce biegął w białiznie jak opętany Andrzej Rojecki, ścinał jodły i świerki i z jakąś demoniczną radością, z pianą na ustach rzucał je ogniowi na żer...

Kilku śmielszych strażaków wtargnęło w głąb domu, by po paru minutach wynieść stamtąd trzy spalone na węgiel ciała: dwóch kobiet i dziecka. Rojeckiego broniącego się wściekle spętano wreszcie postronkami i odstawiono do zakładu dla umysłowo chorych.

## Pirotechnik

BAŚŃ ASTRALNA

Pod granat nieba trysnął nowy pęk ogni, przepruł świetlistą linią kiry lipcowej nocy i rozsypawszy się tam, hen, w zenicie w skrzący miriadą gwiazd bukiet, spadł kaskadą pomiędzy drzewa królewskiego parku...

Zanim tłum widzów ochłonął z podziwu, wydzwignęła się w przestrzeń trójbarwna „pałka Herkulesa”, oślepiąco biały promień światła mknący pionowo w górę lotem strzały, a dookoła niego dwie smugi wirujące, dwa pasma przedziwne: pąsowe i barwy topazu...

A gdy już zgasła w przestworzach trójświetlna rakietka i mroki alej rozwidniały znów tylko żagwie i smolne pochodnie, nagle zgłuszył gwar dworskiej gawiedzi przeciągły świst wstrząśniętego powietrza i wśród deszczu złotych iskier wleciała pod niebo duża, zielona bania, za nią śmignęło w przegony wydłużone wrzeciono i dopadłszy ją na podgwiezdnym szlaku, wbiło się ostrzem na wylot; olbrzymi, szmaragdowo-purpurowy bąk zawahał się na chwilę, zakołysał i zatoczywszy potężny krąg, zaczął w spiralnych skrętach staczać się cicho ku ziemi...

I tak szły w niebo coraz to piękniejsze ognie rozegrane migotem blasków, roześmiane tęczkami kolorów, bujne, szczodre a krasne. Rozchylały się w lubieżnej pysze precudne krzewy, rozkładały ogniste kosze, syjąc bezlikiem gwiazd, płatków i kwiatów, strzelały płomienne race, czerwone gejzery, pomarańczowe wodotryski.

A tam, na rusztowaniu z tarcic, wysoko nad tłumem królewskich gości czerniała w świetle chińskich latarek postać ogniomistrza. Jak czarodziej skinieniem laski wywabia kształty i widma, tak mistrz Jan gestem ręki szybkim, nieuchwytnym rozpętywał przyczajone do skoku rakiety, wyzwalał drzemiące baterie, podpalał stupiny<sup>140</sup> i lonty, uwijając się jak zły duch wśród stosów ładunków, piramid, bomb, cygar ognistych, bengalskich ogni, granatów. A spod palców jego wąskich, nerwowych, niemal kobiecych, tryskały w niebo siklawy<sup>141</sup> ogni poematy życia i jego przedziwne urody...

A gdy już północ spłynęła w mosiężnych kręgach z zamkowych zegarów i król powstał z tronu, by dać hasło do zakończenia igryzka, zleciała ze stopni rusztowania duża, błysz-

<sup>140</sup>stupina — knot ze skręconych nitok bawełnianych, wycoczony w wodzie z saletrą i mączką prochową; rodzaj dawnego zapalnika. [przypis edytorski]

<sup>141</sup>siklawy (gw.) — wodospad. [przypis edytorski]



cząca barwami opalu kula, prześmignęła ponad czubami drzew i skosem w podrzutach drasnęła powierzchnię parkowego stawu. Wtedy Roksana, pierworodna córka królewska zstąpiwszy w dół w nadbrzeżne aleje, pochyliła się nad wodą, w zachwycie dziecięcym wyciągając ręce do tańczącej kuli. I oto nagle pękło w tysiące skorup świetlane zjawisko, z wnętrza wypadła pąsowa różyca i przeleciawszy ponad balustradą, legła u stóp królewskiej dziewicy.

Uśmiech skrasił<sup>142</sup> wargi Roksany i cicho wydała zlecenie jednej z dworek. A gdy za chwil parę stanął przed nią drżący z uwielbienia ogniomistrz i wzrokiem miłości pełnym pytał o wolę i rozkazy, ściągnęła z palca sygnet rubinowy i oddała mu w darze. Pochylił się mistrz Jan kornie do kolan królowny i ucałował rąbek jej szaty.

— Jutro — usłyszał jak przez sen szept czarowny — jutro pod wieczór bądź tu nad stawem.

I odeszła z gronem dziewczek dwornych, urodziwych...

Od owej przedziwnej nocy, nocy ogni i świetlistych igrzysk rozpoczęło się dla Jana nowe życie. W samotnię jego pracowni wtargnęła czerwonym płomieniem miłość i zażęgła słodki, odurzający bezmiarem rozkoszy pożar. Pirotechnik nadworny został tajemnym kochankiem królewskiej córki.

A miłość ich ukrywały wiernie parkowe drzewa i odległe, warkoczami powojów i bluszczów splecione ustronia.

Cudnie wybujał w tym czasie kunszt Jana. Spotęgowany szczęściem bez granic, dumny w łaski Roksany, stwarzał dzieła jedyne, świetne, wyjątkowe. Powstawały ogniste symfonie radości, hejnały światła zwycięskie, peany bujawej siły rozrodu szumne jak młodość, perlące jak wino, mocne jak miody pasieczne. Całą rozkosz życia rozpierającą mu pierś młodą wyrzucał mistrz w noc pogodną na ekran nieb; i spalały się tam wysoko na firmamencie ogniste hymny — rapsody, głosząc chwałę miłości i cudów ziemskiej wędrówki.

Lecz, wiadomo, szczęście ludzkie — to gość rzadki i na krótkim postoju; jak zabłysło nagle, niespodzianie — tak wrychle<sup>143</sup> zgasło.

Pewnego wieczora zastał Jan w parkowej altanie zamiast królewskiej kochanki jej szatną, Dorotkę. Dziewka z szydem<sup>144</sup> w czarnych oczach podała mu ciężką sakwę z jedwabiu i rzekła:

— Pani moja zleciła oddać wam, panie, to złoto, dziękując za przyjaźń i serdeczną przysługę. W ogrody króla jegomości więcej się, panie mistrzu, nie zapuszczajcie, ile że trud odtąd byłby daremny a niebezpieczeństwo łatwe. Za tydzień Roksana pójdzie w łożnicę księcia Śnigóra, który dni temu kilka dziewosłębów nam przysłał. Ostawajcie z Bogiem i zapomnijcie! Tak przykazuje królowna, moja pani.

Ból czarny targnął sercem Jana, ból okropny i jęcza splugawionej dumy.

Miotnął w twarz dziewczce sakiewkę w dank<sup>145</sup> za wiadomość i odszedł bez słowa.

Rozpoczęła się włóczęga po szerokim, pustym świecie. Z kijem podróżnym w pięści, ze skrzynką przyborów pod pachą wędrował pirotechnik z miejsca na miejsce rzucany jak ten liść jesienny podmuchami przypadku. Żarła go nędza, bolał wstyd; goryczą przesiąknięta dusza, krwawiło serce.

Więc mścił się na ludziach, ukazując im świat w karykaturze a życie w lustrze wypukłym maszkary i poczwary.

Bywało, w noc gwiazdne rozkładał wędrowną swą paczkę na środku rynku w nieznanym gdzieś mieście, mieście lub wsi przydrożnej, klecił naprędce rusztowanie, a gdy tłum ciekawych obstał go kołem, puszczał w milczące przestworza zjadliwe węże zięjące ogniem z zielonych paszcz jakież zgniatwane, złośliwie sznury światła pełne czwarzających się w odstępkach węzłów — ślepe, jadowite, złe, zionące trupim śwędem szmermele<sup>146</sup>.

Przeżony motloch rozbiegał się wśród okrzyków grozy do domów, przeklinając niesamowitego szarlatana. A on spokojnie pakował ładunki w gilzy, okręcał w smolne szmaty, by w deszcz nie przemokły i zamknąwszy szczelnie w puzdra, odchodził z miasta z uśmiechem drwiny na ustach.

<sup>142</sup>skrasić (neol.) — okrasić, upiększyć. [przypis edytorski]

<sup>143</sup>wrychle (daw., gw.) — rychło, szybko. [przypis edytorski]

<sup>144</sup>szyd (neol.) — szyderstwo. [przypis edytorski]

<sup>145</sup>dank (daw., z niem.) — podziękowanie. [przypis edytorski]

<sup>146</sup>szmermel — wężykowaty fajerwerk; raca. [przypis edytorski]

Tak przeszedł spory szmat świata. Był na stołecznych ulicach Europy i zgasił radość wytwornego tłumu, na rynku był w Bizancjum w święto mas bejramu<sup>147</sup> i zwarzył wesołość dzieci Proroka — na ucztach był w szejka w Arabii Szczęśliwej i ściał mrozem śmierci twarze pijanych biesiadników. Strach szedł w ślad za nim, blady strach i groza zaklęte przez mistrza w zjawy światła, rakiet i dżdżów ognistych...

Aż spłynęło nań ukojenie. Pewnego dnia w skwarne południe sierpnia spotkał na tamie portowej w Neapolu Maritę kwiecniarkę i wtedy zapomniał o Roksanie. Słodka, czarnooka fioraja di Napoli została jego żoną.

I popłynęły dni cichego szczęścia.

Owe wspólne wędrówki po długich, znojnych kurzawą i pyłem gościńcach, owe postoje w przydrożnych gospodach, hen gdzieś w skrajnym polu pod namiotem nieba, przedzremiane noce! Hej! Ból serce dławi, oczy w łzach mętnieją... Minęło, minęło...

I w sztuce Jana zaszły wtedy zmiany. Przestały płonąć na widnokręgu złośliwe maskary, przestały szczyrzyć się ku ludziom uśmiechy ognistych poczwary. Złagodniała pieśń pirotechnika. Przed oczyma widzów paliły się teraz błękitne ognie ukojenia w glorii lazurowych płomieni indu, kalomelu, przetykały haftem płaszczy nocy łagodne irysy, skłaniały kielichy tulipany, rozwachlarzały się soczystą zielenią barytu długowłose palmy...

Jan zaczął prowadzić życie osiadłe. Wybudował duży, biały dom nad brzegiem rzeki, zasadził wkoło daktyle, cytryny, pomarańcze. Wewnątrz założył pracownię, zatrudnił kilku ludzi. W wielkich, beczkowo sklepionych piecach topił metale, prażył w tyglach, precedzał przez alembiki.

Marita stała wiernie u boku męża: rozcieriała tłuczkiem ładunki na marmurowych tafelkach, mieszała preparaty rogową łopatką, napełniała z kobiecą ostrożnością puste gilzy i patrony. Huczały paleniska, stękały miechy, pieniały się szumem retorty.

Na płaskim dachu domu urządził obserwatorium pirotechniczne i ogniopróbnę; tu przepuszczał swe twory przez surowy osąd probierzy, nim wypuścił je w świat ludziom na podziw i zachwyty.

Bo Jan zapragnął kunszt swój ognisty podnieść na wyżyny wielkiej, świętej sztuki; nie chciał być szarlatanem jak tylu wędrównych jego współbraci, cyrkowym hecarzem strzelającym w niebo rakietami dla uciechy jeno i błahej rozrywki. Chciał zakłąć myśl swoją w ogniopalne dzieło, wypowiedzieć w burzy i zgiełku ogniotrysków swe uczucia, marzenia i sny przebogate. Raziła go niedoskonałość środków, trawił ból i tęsknota za czymś wielkim i trwałym. I smutek bezbrzeżny kładł mu się lodowatym całunem na serce, ilekroć widział na niebie swe najpiękniejsze ognie. Bo wiedział, że moment cudu krótki ni to<sup>148</sup> mgnienie błyskawicy, że za chwilę parę zgaśnie świetne zjawisko: spadnie mu do stóp żużlem meteoru.

Wtedy z tęsknoty owej w południe życia poczętej zrodził się pomysł wielki i śmiały, który miał zostać kiedyś dziełem jedynym, tworem nieśmiertelnym i trwałym pirotechnika Jana.

Zrodził się w ciszy domowego szczęścia i zapadł głęboko w duszę na dno. Otoczyła go tajemnica świętości i jakaś szczególna wstydlivość. Jan nie zwierzył się nawet przed żoną.

Od owej przedziwnej godziny narodzin co dzień wieczorną porą, gdy już ostygły retorty, ogień dogasał w paleniskach i towarzysze pracy rozchodzili się po domach — zamykał się mistrz w samotnej pracowni. Gdy w godzinę, dwie potem wychodził z tajemnego wnętrza — twarz miał dziwnie zmienioną i bladą, w oczach chmurną zadumę. Pytany przez żonę odpowiadał ni to, ni owo, kiedyś później wszystko odkryć obiecując.

Lecz wiadomo, kobieta ciekawa. Niecierpliwości nie mogąc opanować, zakradła się Marita pod wieczór do pracowni i ukryła za żelaznym przepierzeniem, co odgradzało przystęp do pieca od wnęki na kruszce. I ujrzała rzecz dziwną.

Upewniwszy się, że drzwi dobrze zaryglowane, nacisnął Jan palcem ścianę w pewnym miejscu; wtedy ukazała się wydrążona skrytka, z której dobył dużą, kryształową czarę napełnioną jakimś purpurowym płynem z zanurzoną w nim swobodnie czarną, krągłą masą. Ustawivszy preparat przed sobą na stole, odwinął rękaw, zadrasnął skórę ostrzem noża powyżej łokcia i wpuścił parę kropel krwi do płynu. Potem zawiązawszy rękę, pochylił

<sup>147</sup>bejramu (z tur.) — święto. [przypis edytorski]

<sup>148</sup>ni to mgnienie — niby to mgnienie, niczym to mgnienie. [przypis edytorski]

się nad czarą, dotykając czarnej kuli palcami obu wyciągniętych dłoni. Powoli oczy jego nabrały szklanego wyrazu, ciała podeszły w górę, członki nabrały sztywności drewna i... stojąc usnął. W jakiejś chwili wyprężone ramiona podniosły się i nieruchomo ustawiły do poziomu ponad czaszą. Wtedy czarna kula, jakby pociągnięta tajemniczą siłą wynurzyła się z płynu i zawahawszy parę razy nad jego powierzchnią, zawisa swobodnie w powietrzu. Mistrz spał snem kamiennym...

Przełęczniona Marita nie ruszała się z miejsca. Jakieś głuche przeczucie szeptało jej do ucha, by go nie budzić, nie dotykać w tej chwili. Więc czekała z przytąjonym oddechem. A gdy już dobiegła do końca długa godzina, drzenie przebiegło ciało Jana, ręce uderzać zaczęły lekko w powietrzu, aż zesztyniałe ramiona pochyliły się znów skosem ku czaszy. Wtedy kulista masa powoli zanurzyła się z powrotem w rubinowej cieczy. Jan obudził się.

Od owego wieczora przestała Marita wypytywać męża. Ukoiwszy raz niewieścią ciekawość, nie pragnęła dotrzeć do sedna tajemnicy; przejmowała ją lękiem i trwogą. Więc trzymała się z dala od „praktyk Janowych”...

Tak mijaly im lata w ciszy i szczęścia ukojeniu. Sława mistrza rozchodziła się tymczasem szeroko, zataczając coraz większe, coraz potężniejsze kręgi. Zewsząd ściągali zarówno mądrzy i silni świata tego, jak i pokorni i maluczcy, by podziwiać sztukę pirotechnika z Białego Domu. Urósł w oczach ponad miarę...

Aż nadeszły dni smutku i żaloby. Pewnego rana zachorowała ciężko Marita. Jakaś zabójcza zimnica opanowała zdradziecko młode jej ciało, że kraśniała i bladła na przemiany od gorączki i chłodu. Trzy dni walczyła o życie, zmagając się z chorobą, by czwartego nad ranem odejść cicho w zaświaty na rękach Jana...

Zamilkła na lata pieśń ogniomistrza. Kamienny ból rozpanoszył się w sercu, okrył kirem żaloby rozteśnioną duszę. Umilkły głosy towarzyszy w ogniotwórni, zgłuchły wesole piosnki pracowników. Zionęły czeluściami otworów wyzięble piece, drzemały w kurzawie pyłu poniechane tygłe, spętane pajęczą przędzą, puste retorty. Jan zapamiętał się w bólu, zaciął w tępej rozpacz.

Póki nie wyzwolił go kochający duch Marity... Zjawiła mu się w jasną noc grudniową w opustoszałej pracowni, w jedną z tych długich, samotnych godzin, których teraz tyle trawił zamknięty w czterech swych ścianach.

Zjawiła się słodka i czysta z uśmiechem anielskim na twarzy i położywszy mu rękę na głowie rzekła doń szeptem:

— Wstań i zaświadczyć światu o sprawach po tamtym brzegu.

Okrzyk radości wydarł się z piersi Jana i wyciągnął ręce, by ją objąć; lecz świetlne zjawisko rozwiało mu się w oczach. Tylko skądś z oddali niby oddech wiatru doszło go ciche westchnienie...

I podjął pracę ducha na nowo. Z pracowni pirotechnika zaczęły padać na niebo potężne projekcje duszy rozmiłowanej już w radościach nie z tego świata: była jakaś wielka w swej przepokorze modlitwą, jakieś ogromne, w muzyce nadziejskiej zaśłuchanie. Rzucone w międzyplanetarną przestrzeń ognie rozkwitały w litanie duchów mistyczne, w serc czyste chorały, niebiańskie aniołów koncerty. Wyczarowane z kuźnicy Białego Domu pociski, dosięgłszy stropu niebios, rozrzuciły się hen po widnokregu w falangi świetlnych tworów, w jakieś pielgrzymie orszaki w drodze ku nieznanym celom, w zaświaty...

I szły po niebie te jasne postacie w utęsknieniu bez miary, pełgotały czas pewien w świętym wysiłku, aż wyczerpane drogą przydługą konały i gasły...

Patrzył na tę mękę serdeczną ich twórcą i tym żarliwiej pracował nad dziełem swego życia jedynym. I stało się, że wykończył je w czasie, gdy już włos mu na skroniach posiwił, gdy pochyłony już laty<sup>149</sup> zapragnął spocząć snem wiecznym.

Więc sprosił na igrzysko ludu wiele z miast i wsi i wyznaczył im siedliszczą kamienne półkregiem nad brzegiem morza. A sam stanawszy na rusztowaniu w środku koliska nad pluskotem wzdolliwych fal, wśród ciszy śmiertelnej rozpoczął widowisko.

I opowiedział im ognistą baśń o duszy ludzkiej i jej wędrówkach po szlakach życia. Mówił o wzlotach podniebnych i hańbie upadków, o rajskim śpiewał uśmiechu i piekielnej udręce, o wierze promiennej i kaźni zwątpienia. I dzierżał na niebo swoją opowieść błyskami rakiet, gzygakiem szmermeli, cudną poświatą Bengalu. Siał hojną dłonią całe

Ogień, Artysta, Sztuka,  
Teatr, Dusza, Gwiazda,  
Czary

<sup>149</sup> *pochylony (...)* laty — pochylony latami, pochylony przez lata. [przypis edytorski]

przygarście złotego pyłu, miotał w noc cichą roje tęcz bez liku i światel dżdżące wytryski. Rozpinał niebotyczne łuki, smukłe tury i wież iglice, rzucał w ogniowym odmieście gmachów podniebne arkady...

Nagle ustała orgia światel, pogasły meteory i zapadły zwycięskie mroki nocy.

Lud zaszemrał niechętnie:

— Czyżby już koniec igrzysku?

I z rozczarowaniem spoglądali w dół na rusztowanie. Tam w blasku kaganka stał mistrz Jan z dłońmi przed się wyciągniętymi jak do modlitwy muezin, z twarzą wzniesioną ku niebu. Zda się skamieniał, zdrętwiał na miejscu...

Wtem wleciała pod niebo cudna, ciemno-błękitna gwiazda, przesybowała lotem błyskawicy ponad teatrem widowni i wzbija się śmiało na firmament. Sześć ramion strzelało z błękitnej jej piersi, sześć świetlnych promieni z szafiru. Dziwna zaprawdę gwiazda.

Bo chociaż wspięła się tak wysoko jak żadna dotąd z rac mistrza, nie zmaląła przecież dla oczu, lecz wciąż świeciła nad ziemią w pierwotnym swym blasku. A wtem zawisła w przestworzach na wschód od mlecznej drogi i zatrzymała się wśród siostrzyc...

Na próżno czekali widzowie, kiedy zgaśnie i stoczy się w morze, na próżno...

Bo gwiazda mistrza Jana nie miała już wrócić na ziemię, lecz przyjęta do grona rówieśnic odtąd miała świecić tam w górze.

A tu na rusztowaniu z desek wśród dogorywających lontów i stupin leżały sztywno rozpostarte zwłoki pirotechnika: błydy był, bez kropli w twarzy, z zastygłym na wargach uśmiechem.

I zrozumieli ludzie, że duszę swą zaklął w szafirową gwiazdę, by mogła wlecieć na niebo...

Astronomowie świata zauważyli tej nocy nowe ciało niebieskie: jakąś gwiazdę piękną i dużą, co rozbłysła nagle barwami szafiru we wschodniej połaci nieba.

A gdy w noc drugą i następne nie zniką z horyzontu, lecz zdawała się rozpalać coraz świetniejszym błękitem — włączyli ją w poczet gwiazd pierwszej wielkości i nazwali „*Stella Pacis*” czyli „Gwiazdą Pokoju”.

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/grabinski-ksiega-ognia-zbior>

Tekst opracowany na podstawie: Stefan Grabiński, *Utwory wybrane*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1980.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>).

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Agnieszka Tulicka, Aleksandra Kopec-Gryz, Aleksandra Sekuła, Ania Krzak, Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-6205-0

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przeznacz 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.